

Nie zmarnuj tej szansy ZA 10 ZŁOTYCH DO BULGARII

— str. 2

UWAGA!

„Kamena” przyjmuje ogłoszenia od instytucji i osób prywatnych.

Ogłoszenie w „Kamieniu” żyje dwa tygodnie i jest czytane w całej Polsce!

Oferty należy kierować pod adresem redakcji (20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2) lub Biura Ogłoszeń (20-116 Lublin, ul. Rybna 13).

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

PL ISSN 0137-7108 Nr indeksu 36251

Kamena

NR 10 (830)

19 maja 1985

CENA 10 ZŁ

tem siedział pies, m. zaszczekał. Wterzyła właśnie ona, razu, że to ona, wydrzyżona dziewczyna, kim jestem i po Wprowadziła mnie mieszkaniu pokoju, tego meblami, za to alowanego. Na łóżku Obudziła go. zy stoła. Na przezie wisiał oprawiony ne ramy portret

teżgi, do wojska oszparcz spoglądał hwiłę na fotografię



ZARAZ PO WOJNIE

v Technikum Łącz- a córka chodzi je- wówki... zwróciłem się do zdniaja uśmiechnię-

Zofia-Teresa

Zofia Teresa Konofalska mieszka

dek. Do naz- miałam zam- nie odpowia- nie chcieli j- kowego uyt



Dwadzieścia lat temu na łamach „Kamena” ukazała się rozmowa Mirosława Dereckiego z dwoma dziewczętami, które urodziły się 9 maja 1945 roku w Lublinie. Teraz reporter odnalazł jedną z nich — Zofię Teresę Konofalską-Matykę. Jakie były jej dalsze losy, jak ułożyło się jej życie? Pisz o tym na str. 9. Natomiast na tych dwóch zdjęciach widzimy reprodukcję dawnego numeru „Kamena” ze zdjęciem Zofii Teresy oraz zdjęcie współczesne: Zofia Teresa z synem. Wtedy i dziś fotografował Andrzej Polakowski. W tym samym miejscu...

DNI DO MYŚLENIA

OKULTURZE można w nieskończoność: na zebraniu, w kawiarni, na uczelni i w gazecie. W humanistyce funkcjonuje bodaj 30 definicji fenomenu kultury, w rozmowach potocznych — chyba jeszcze więcej i choć nie spełniają one kryteriów prawdy naukowej, poważnie wpływają na treść opinii publicznej, czy raczej na przeświadczenia kształtujące się w różnych środowiskach społeczno-zawodowych. Inaczej bowiem postrzegają sprawy kultury artyści, inaczej — robotnicy czy pracownicy PGR-ów, nie mówiąc o administracji, która musi to całe pole zbiorowej aktywności organizować.

Prawdą wszak pozostaje, że kreowanie i upowszechnianie kultury zawsze było przedmiotem sporów, powodem frustracji, żalów i pretensji, ale i niemających satysfakcji. Przez wiele lat narzekaliśmy na zaniedbania w sferze inwestycji, złościliśmy zarazem na meandryczny dukt polityki kulturalnej. Nie byliśmy jednak tak ślepi, by nie dostrzec tych wielkich wartości, jakie w życie narodu wniosła Polska Ludowa.

Wice przez wiele lat powojennych przypominał typową rodzinę: klócił się z sobą, ale i cieszył się z sukcesów rodziny. I jakś pchało się ten wóz do przodu.

Dzisiaj jest inaczej: ciągniemy ów majątek w przynajmniej dwóch przeciwstawnych kierunkach,

niepomni, że pracowaliśmy nań wspólnie przez kilkadziesiąt lat. Kultura przestała być Arką Przymierza rozdyktowanej rodziny, rozpadła się do parteru — zamieniając w obszar ostrej konfrontacji ideologicznej i politycznej.

Do potocznego słownika weszły już terminy: „drugi obieg”, „mecenat pozapaństwowy”, „podziemie kulturalne”, „artysta reżimowy”. Kolportuje się opinie, że „prawdziwi twórcy” działają dziś w rejonach pozapaństwowych, pod ochroną sklepów krzyżowo-żebrowych oraz beczkowych, tych z czasów kontrreformacji, kiedy to stracono tysiące „heretyków” czy „nawiedzonych” (co obecnie pokrywa się czernią milczenia). Wbrew faktom rozgłasza się, w stylizacji agresywnej drwiny, że do nowych związków twórczych weszła sama miernota, ludzie niedowartościowani, chciwi apanaży i splendoru, co nadawcom takich opinii jakoś nie przeszkadza w pobieraniu stypendiów od atakowanego na co dzień „reżimu”.

Najgorszym skutkiem takich poczynań jest chaos w sferze wartości i destrukcja ukształtowanego etosu. Głosząc postulat bezwzględnej prawdy w życiu zbiorowym, domagając się rewindykacji historycznych wedle kryteriów narodowo-patriotycznych, podnosząc potrzebę maksymalizmu etycznego, środowiska wypierające się jakiegokolwiek po-

winowactwa z państwem ludowym przemilczają wszak fakty im niewygodne, np. związane z niektórymi aspektami Konstytucji 3 Maja, a jednocześnie próbują zawłaszczyć to, co przynależy do najlepszych tradycji polskiego racjonalizmu. Kto wie, czy nie doczekamy się beatyfikacji profesorów Ossowskiego i Kotarbińskiego...

...Ale czy prawda nie powinna obowiązywać wszystkich uczestników czynu narodowego? Retoryczne, ewangeliczne to pytanie.

W tej całej kotłownianinie dostrzec jednak można ostatnio rzecz ciekawą: oto artyści występujący w katakumbach zaczynają irytować się lekko na mecenasa, a to z powodu jego oczekiwania czy zastrzeżeń, kierowanych np. pod adresem takich manifestacji, które naruszają obyczajowość formacji reprezentowanej przez sponsora. Sadzę, że jest to lekcja bardzo pouczająca, dla obu stron, mogących wreszcie pojąć, iż powołane zostały do zupełnie odmiennych celów. Potwierdza się stara prawda, że wolność w ogóle, wolność bez granic, że coś takiego jest po prostu złudzeniem, powiedzmy — marzeniem frustratów.

W tym naszym biednym kraju każdy mecenat nad kulturą jest dobry — jeśli działa w intencji budowania wspólnoty, opartej na rozumnych podstawach, świadomej swego miejsca w świecie i przekonanej, że bez instytucji własnego państwa każdy naród karleje do poziomu grupy etnicznej.

I to jest wszystko (no, może nie wszystko), co należałoby powiedzieć z okazji Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy, które obchodzimy na miarę naszych możliwości.

z notatnika

6 V. Niezbyt precyzyjnie wyraziłem się w poprzednim notatniku, pisząc o licznych kontrolach w zakładach żywienia: czytelnik mógł odnieść wrażenie (a miałem kilka telefonów w tej sprawie), że chodzi mi o kontrole wewnętrzne. Nie! O zewnętrzne. Tych właśnie nikt nie koordynuje i bywa tak, że jedna za drugą zjawiają się w restauracji czy barze, dezorganizując pracę. Mało: panowie kontrolerzy potrafią wejść do kuchni nie nalożywszy uprzednio fartuchów, co narusza podstawowe zasady higieny. Chcę być dobrze rozumiany: nie neguję potrzeby przeprowadzania kontroli, ale nie należy z nimi przesadzać! Sądzą również, że dyrekcje (powtarzam — dyrekcje, a nie, oczywiście, kierownicy poszczególnych zakładów) powinny być o nich przynajmniej informowane i w tym też kontekście wymienilem nazwisko p. dyr. Skibińskiej — osoby szczególnie zaangażowanej i znającej swój fach.

A swoją drogą kontrolerzy muszą mieć jakieś jednolite dokumenty z wyraźnie sprecyzowaną datą, do której są one ważne, bo praktyka jest taka, że kierownikowi błysnie się przed oczyma jakimś papierkiem i... rozstąpi się, ziemi! Wypowiadam się więc za weryfikację wydanych zezwoleń, by żadną miarą nie dopuścić do jakichkolwiek nadużyć w tym względzie. W zezwoleniach powinno być też wyraźnie, sprecyzowane czego konkretnie ma dana kontrola dotyczyć. Ktoś, kto zna się na przykład na zabezpieczeniu przeciwpożarowym, może się zajmować tylko tym, a niczym innym (z góry uprzedzam, że to przykład wydumany przeze mnie, więc niech nikt się nie obraża).

Piszę o gastronomii, ale problem to szerszy. Utarło się, że kontrola jest dobra na wszystko, a przecież nie tylko o nią chodzi. Stare polskie przysłowie mówi zresztą: gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść...

Przy okazji: krytykowałem Wydział Handlu UM w Lublinie za brak w mieście herbaty, podczas gdy w sklepach w Serocku naliczyłem aż pięć gatunków. Nie było tam jednak tej, która ostatnio pojawiła się w Lublinie: mała paczka kosztuje aż 395 złotych! Nie próbowałem, może ona rzeczywiście jest wspaniała, ale mam pytanie: czy tylko taką herbatę możemy u nas kupować? I proszę, aby nikt mnie nie mówił o tzw. trudnościach obiektywnych, bo jeżdżąc po Polsce i widząc, że gdzie indziej spece od spraw handlu jakoś bardziej głowkują. Może to zależy i od głowy, trudno powiedzieć. Niechże Wydział Handlu UM wypowie się w tej sprawie publicznie, łamy „Kamień” są otwarte!

8 V. Może kiedyś Tadeusz Siejak, autor, o którym coraz głośniejsze, dostanie Nobla i ja wyjdę na kompletnego kretyna, ale naprawdę nie wiem, czy Literatura (przez duże „L”) ma wyglądać tak, jak w „Pustyni”, nowej powieści Siejaka, która ukazuje się nakładem Wydawnictwa „Iskry” i której fragmenty drukuje właśnie „Tu i teraz”. Coś z tej powieści (za „Tu i teraz”) zacytuję, nie wykropkując niektórych wyrazów, choć w pełnym brzmieniu ukażą się one po raz pierwszy w „Kamieniu” (w jej 51-letnich dziejach):

— A pan, panie ekspert, zgłoś się do naszego działu gospodarczego. Tam dadzą panu planasz przeciwdeszczowy na drogę powrotną. Śmieci stają się ogólny Ligner śmieje się razem z nimi. Lewą połową ust. Ty stary chuju, mów w drodze powrotnej, a ja ealy czas udaje, nie wiem, o co chodzi, chociaż z chujem mogłem się zgodzić, tylko stary było nie na miejscu, ty stary chuju, kutasie pierdolony, myślisz, że jak jesteś władza, to ci wszystko wolno — I patrzcie! Ekspert siedzi i patrzy w stół. Boi się, że jak wróci do siebie, to go Zdzichu z roboty wypierdoli. Co, panie ekspert? Wlec wstaje, podnosi się, przechylał ponad stołem, biorąc wojewodę za kłapy jelonkowej marynarki i pierdołę kilka razy dupą o krzesło. Potem spokojnie wychodzi, twarzą się skamieniała i panuje cisza pełna grozy...

Zacytowałem i może już w tej chwili wyszedłem na kompletnego kretyna?

9 V. 40 rocznica zakończenia wojny. Parada wojskowa w Warszawie, defilada w Moskwie. Czcimy pamięć tych, którzy zginęli i mówimy: NIGDY WIĘCEJ.

A w Bitburgu przed kilkoma dniami prezydent Reagan złożył wieniec na cmentarzu. Wśród pochowanych tu

żołnierzy niemieckich było również 49 SS-mandów!

Słów brakuje, aby wyrazić uczucia, jakie ta demonstracja wywołuje. Cytowałem wyżej Tadeusza Siejaka, może w danym wypadku skorzystać z jego określeń. Wyjątkowo!

Znamy w Polsce nieobliczalne wystąpienia obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, ale w Bitburgu przeszedł on sam siebie.

10 V. Zgadzam się, po stokroć zgadzam się z Hieronimem Orzeszkim (pseudonim, ale wiem, kto się pod nim kryje), kiedy pisze w 19 n-rze wrocławskiego tygodnika „Sprawy i Ludzie” tak:

„Mimo niskiej rangi, jestem bowiem szeregowym rezerwy w stanie spoczynku, pragnę się krótko wypowiedzieć w ważnej wojskowej sprawie. Chcę miłanowicie szczerze pogratulować i sekretarzowi naszego KC, towarzyszywi generalowi armii, Wojciechowi Jaruzelskiemu, że w sposób ostateczny nie dał sobie, że tak powiem, nakadzić marszałkowskiej buławy. Za prowadzoną na czele partii i wleżą trwającą trudną bitwę historią wystawił mu kiedyś nie stopień wojskowy, ale sprawiedliwą — oby — ocenę”.

Solidaryzuję się z nim również, kiedy stwierdza:

„Słyszany program nadała kilka dni temu nasza telewizja o młodym Władysławie Gomułce z czasów krosińskich. Wnuc byłego fabrykanta przywołał opinie dziadka o pracowitości Władzia, a miła sąsiadka przypomniała, że był taki pobożny, że „nie wziął łyżki do ręki, nim się nie przeżegnał”. Porządny był chłopak! Uwzględnić to towarzysze, w szkoleniu partyjnym z historią ruchu robotniczego. Towarzysz Wiesław, patrz na was z nieba, na pewno się ucieszy”.

A także wówczas, gdy Orzeszek pisze:

„Powodów do słusznego i świętego gniewu dostarcza się nam i... coraz więcej. Oto w kraju tych piekielnych zabojałów nakręcono i pokazano film szkalujący dobre imię całego narodu polskiego. Jest to, rzecz jasna, czyste szkaradziństwo, które — z drugiej strony — ma też pozytywne następstwa. Polska opinia publiczna, wychowywana skutecznie na stereotypie o «tradycyjnie dobrych stosunkach między naszymi dwoma narodami» dowiedziała się — bodaj po raz pierwszy — od paru dziesięcioleci — o Vichy. Lavalu. Petainie. kolaborantach, a nawet o francuskich zbrodniach w szeregach Wehrmachtu. Dzięki kłamstwu ujawnia się prawdę, czyż to nie dziwne?”

Wracając do filmu, o którym mowa. Jest to, jak wiadomo, „Shoah” w reżyserii Claude Lanzmanna. Wymowa filmu jest taka: Niemcy zorganizowali obozy śmierci w Polsce dlatego, że Polacy byli antysemitami i Polacy są współwinnymi ludobójstwa Żydów. Trudno o większą kalumnię, zwłaszcza, że jedynie w okupowanej przez hitlerowców Polsce działała organizacja konspiracyjna o kryptonimie Żegota, której celem była pomoc w ratowaniu Żydów. Wielu Polaków straciło życie właśnie wówczas, kiedy chronili Żydów. A już kosmicznym wprost skandalem jest fakt, że taki film powstał we Francji, gdzie policja rodzima, francuska, podlegająca rządowi w Vichy, aresztowała i deportowała do obozów śmierci około 300 tysięcy własnych, francuskich, Żydów.

Za 10 złotych do Bułgarii

Szanowni Czytelnicy! Otrzymaliśmy nadspodziewanie mało odpowiedzi na ogłoszony w poprzednim numerze „Kamień” konkurs o problematyce bułgarskiej. Czyżby pytania były zbyt trudne? Nam się wydaje, że nie, ale, oczywiście, trzeba trochę poszperać w bibliotekach. Podkreślamy jeszcze raz, że każdy może nadesłać DOWOLNĄ liczbę kuponów.

W publicznym losowaniu obok kuponów poprawnie wypełnionych, wezmą udział (to nowość na życzenie czytelników!) kupony, w których brak będzie odpowiedzi na jedno lub dwa (maksimum!) pytania. Kto nadesłanie więcej kuponów, ten ZWIĘKSZY swoją szansę w losowaniu. A pierwszą nagrodą jest przecież WYCIECZKA DO BULGARII, drugą — TURYSTYCZNY TELEWIZOR, ponadto wiele innych atrakcyjnych wyróżnień.

Nie zwlekajcie!

Postanowiliśmy przedłużyć konkurs do 25 maja, do tego też dnia można nadsyłać pod adresem redakcji odpowiedzi (decyduje data na stemplu pocztowym). Rezygnujemy z kartek pocztowych, rozwiązania na kuponach wyciętych z „Kamienia” (dowolna liczba kuponów) można wkładać też do kopert. CZEKAMY!

W kilku kioskach „Ruchu” w Lublinie będzie można jeszcze nabyć ostatnie egzemplarze poprzedniego numeru „Kamienia” i wyciąć z nich kupon. Tymi kioskami są: kiosk na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ul. Koliątaja, kiosk na dworcach kolejowych i PKS. Poprzedni numer „Kamienia” sprzedawać też będą Międzynarodowe Kluby Książki i Prasy w Lublinie, Chełmie i Puławach.

O dokładnym terminie i miejscu publicznego losowania poinformujemy w lubelskiej prasie codziennej. Czytajcie uważnie!

Jak to wszystko nazwać? Prowokacja? I czemu ma ten film służyć? Wybielanu hitleryzmu? A może ma na celu budzenie nienawiści do narodu polskiego? Jeśli tak, to dlaczego właśnie teraz?

Stosunki polsko-francuskie nie są i tak najlepsze i to wówczas, gdy prezydentem jest socjalista. W sumie dziwne to wszystko, chociaż nie tak bardzo dziwne, by nie można było tego sobie w miarę rozsądnie wytłumaczyć.

11 V. W prasie ukazał się „Materiał Biura Politycznego na XIX Plenum KC PZPR”. Temat: „Problemy inteligencji i jej zadania w socjalistycznym rozwoju Polski”.

Osobny rozdział poświęcony jest środowisku dziennikarskiemu.

„Partia oczekuje, że środki masowego przekazu kierując się podstawowymi zasadami socjalizmu — w trosce o rozwój demokracji socjalistycznej i o jawność życia publicznego — będą coraz lepiej spełniać funkcję konsultacyjną, rolę forum stałej rozmowy ze społeczeństwem. Partia oczekuje, że dziennikarze swą pracą służyć będą dobru narodu, umacnianiu autorytetu państwa, wychowaniu patriotycznemu i internacjonalistycznemu młodzieży, kształtowaniu właściwego stosunku do pracy, a jednocześnie będą przeciwdziałać destrukcyjnym wpływom przeciwników politycznych, demaskować ich antypolską działalność. Przed dziennikarzami stoi jednak nade wszystko zadanie zaspokajania oczekiwań czytelników na szybką i rzetelną informację, pogłębianą o trafną argumentację, publicystykę”.

Nieco dalej czytamy:

„Dobre dziennikarstwo wymaga nie tylko wysokich umiejętności fachowych, szerokiej wiedzy i walorów etycznych. Potrzebuje również środków technicznych. Tu sytuacja jest niezwykle skomplikowana. Bariera techniczna może coraz dotkliwiej blokować dziennikarskie wysiłki. Poligrafia dysponuje parkiem maszynowym daleko odbiegającym od rozwiązań stosowanych dziś w świecie. Powoduje to opóźnienia w przekazywaniu informacji. Podejmowane wysiłki dla wyeliminowania tych barier są niewspółmierne do potrzeb. Opracowany program rekonstrukcji przemysłu poligraficznego przyniesie widoczne efekty dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych. Niepokojąco przedstawia się stan zaopatrzenia wydawnictw prasowych w papier. Począwszy od 1976 r., kiedy nasycenie prasą było najwyższe — 109 egzemplarzy na 100 mieszkańców — wskaźnik ten stale maleje; osiągnął on w ub. roku poziom 97 egzemplarzy. Najwyższy deficyt dotyczy papieru gazetowego, co godzi przede wszystkim w prasę codzienną...”

I jeszcze dalej:

„...zarobki dziennikarskie nie odzwierciedlają dziś w pełni różnic w nakładzie prac w stosunku do innych zawodów. Zmalała ich motywacyjna rola w pobudzaniu większej wydajności, połączonej z troską o wysoka jakość twórczości dziennikarskiej. Rodzi to opinie o wznastającej negatywnej selekcji przy naborze do pracy w redakcjach, jak i awansowaniu na sta-

nowiska funkcyjne. Zbyt mały jest wpływ płac na racjonalizację zatrudnienia w redakcjach. Problemy te powinny być wszechstronnie rozważone w trakcie negocjowania nowego układu zbiorowego pracy dziennikarzy...”

Muszę powiedzieć, że nie pamiętam, choć w zawołanie dziennikarskiemu nasucuje lat 37, aby kiedykolwiek Biuro Polityczne KC PZPR tak jednoznacznie wypowiedziało się na temat spraw płacowych środowiska dziennikarskiego. Były polecenia, nakazy, instrukcje, ale nikt nam, NIESTETY, nie zaglądał do kieszeni. A dziennikarz to taki człowiek, który raczej upomina się o innych. A ci inni myślą z kolei, że nam golabki same wpadają do gąbki. I oczywiście Biuro Polityczne ma po stokroć rację, gdy mówi o „wznastającej selekcji negatywnej przy naborze do pracy w redakcjach”, a zwłaszcza „awansowaniu na stanowiska funkcyjne”. Funkcją to odpowiedzialność. Za pismo, za wszystkie pisanycy. Jeśli redaktor naczelny lub sekretarz redakcji umie pisać, to absolutnie — patrząc w kategoriach ekonomicznych — nie oplaca mu się prowadzić zespołu. Redaktor naczelny dziennika — jeśli spojrzeć na listę plac — rzadko kiedy mieści się w pierwszej dziesiątce. Chyba, że chałturzy, ale i na chałturze trzeba mieć czas. Kiedy jednak chałturzy, zawsze może się narazić na zarzut, że daje do gazetki bucie i to mu wśród kolegów nie zyska autorytetu.

Ministerstwo Kultury i Sztuki też zapomniało o członkach Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL (a mówią, że jesteśmy tak forowani!). 17 września ub. r. zarządzeniem nr 47 podniosło wynagrodzenia za spotkania autorów i tłumaczy książek, członków Związku Literatów Polskich, Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich oraz Stowarzyszenia Autorów Polskich. Koniec, kropka. Dziennikarze nadal niech się spotykają z czytelnikami za grosze!

A przecież wielu spośród tych dziennikarzy to wzięci publicyści, redaktorzy (a poza tym często lektorzy KC czy KW, którzy i tak bezinteresownie uczestniczą w wielu spotkaniach...)

Nie chce nikogo obrazić, ale buntuje się, kiedy autor trzech słabutkich zbiorów poetyckich tylko dlatego, że należy do ZLP, może uzyskać honorarium dwukrotnie większe niż ambitny komentator. A swoją drogą są i tacy pisarze, a może pseudopisarze, którzy wedrują od województwa do województwa, od klubu do klubu, od szkoły do szkoły, zanudzają słuchaczy, ale żyją sobie całkiem, całkiem... Już nie muszą nawet nie tworzyć. Po co?

Dziwi się, że Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL nie ujął się za swoimi członkami; Prezes do dziś nie odpowiedział mi na list, który w tej sprawie do niego napisałem. Czyżby i listy polecione gniły na 170-kilometrowej trasie Lublin—Warszawa?

12 V. Motor wygrał w Lublinie ze szczecińską Pogonią, ale w Poznaniu spotkał go kolejny zimny prysznic, aczkolwiek Lechowi ostatnio zbyt dobrze się nie dzieje. W dalszym ciągu naszej drużynie grozi degradacja do II ligi. Tymczasem Walligóra, który niedługo trenował Motor, odnosi w Łodzi sukcesy i Widzew może jeszcze zostać liderem.

Zakotłowało się trochę w prasie po nieszczęsnym meczu naszej reprezentacji w Belgii, kiedy przegraliśmy 0:2, mimo posiłków zagranicznych. Ani Boniek, nie mówiąc już o Zmudzie, cudu nie sprawili, chociaż Młynarczyk coś tam obronił, aczkolwiek druga bramka jego konto w poważnej mierze obciąża. Jeszcze nie wszystko stracone, ale Meksyk oddał się z całą pewnością, bo i w Grecji i w Albanii łatwo nie będzie. A jeśli nawet wygramy, czeka nas ciężki pojedynek z Belgią, która pokonała reprezentację Polski bez swego czołowego, chorego wówczas, bramkarza. Co tu jednak mówić o bramkarzu, skoro zamiast atakować, bronimy się i to niezbyt udolnie.

Teraz krytykuje się Piechniczka, choć zawsza byłna też różne porady. Żal mi trenera, który chciał swego czasu ustąpić, ale nie pozwolono mu odejść w glorię. Wcale się nie zdziwił, jeśli do kolejnym meczu w Atenach powieści się na nim wszystkie psy polskie, bo łaska kibiców na ostrym koniu jedzie. I nie będzie dla mnie wcale zaskoczeniem, gdy Piechniczka zastąpi Wali... Sto! Jaworski! nie krzycz! Jeszcze słońce nie zaszło! A na razie ciesz się Piaseckim (Leszkiem)!

M. A. Jaworski

JUŻ w pierwszym dniu zjazdu, kiedy po inauguracyjnym przemówieniu przewodniczącego ZSMP Jerzego Szmajdzińskiego rozpoczęły się obrady, praca w poszczególnych komisjach, dziennikarze, którzy obserwowali III Nadzwyczajny Zjazd ZSMP, z zadziwieniem szeptali, że wszystko przebiega tu wyjątkowo sprawnie, bez zatargów, jakie podobno na poprzednim zjeździe były zjawiskiem dominującym. Wyjątkowa zgodność wśród delegatów zaznaczyła się szczególnie przy wyborze władz centralnych związku. Na pytanie przewodniczącego Komisji Wyborczej: „kto za?”, cała prawie sala wznosiła mandaty wyborcze, tylko pojedyncze osoby wstrzymywały się od głosu. Owa zgodność wyborców zarysowała się już w czasie składania kandydatur. Informacja z wydawnictwa „Notatnik Zjazdowy” (nr 1, s. 8) najlepiej może scharakteryzować tę część prac zjazdu: „Ryszard Lis, nr mandatu 690, zgłosił kandydaturę Jerzego Szmajdzińskiego na przewodniczącego Zarządu Głównego ZSMP. Proponowany zgodził się kandydować. Nie było innych kandydatur. Marek Ciechanowski, nr mandatu 162, zgłosił kandydaturę Lesława Królikowskiego na funkcję przewodniczącego Głównej Komisji Rewizyjnej. Proponowany zgodził się kandydować. Innych kandydatur nie było...”

Zdecydowane różnicowanie zdań zarysowało się dopiero, gdy, po zakończeniu prac Komisji Statutowej, podjęto głosowanie w sprawie uchwały IV Zjazdu o zmianach w statucie związku. Część delegatów była przeciwna wprowadzeniu nowej zasady przynależności do związku obniżającej granicę wieku do lat 14. Większością głosów uchwała została jednak przyjęta. Były nawet propozycje, by wprowadzić organizację pionierskie ZSMP w szkołach podstawowych. Do statutu ZSMP włączono pewne treści dotyczące działalności gospodarczej związku.

Wybory i uchwały, choć odnotować je trzeba, to, oczywiście, czysto robocza część zjazdu, dla obserwatorów może mało atrakcyjna, bo najciekawsze przecież były dyskusje i wystąpienia delegatów. Ich wartość i ciężar gatunkowy najtrafniej określają słowa gen. Wojciecha Jaruzelskiego z przemówienia wygłoszonego na zakończenie zjazdu: „Mówiliście szczerze, odważnie, żarliwie, niekiedy nawet gniewnie. To dobry znak. Napawa nadzieją, świadczy, że partia ma i mieć będzie cennego sojusznika w swej walce i pracy dla socjalistycznej Polski. Należy do tej części pokolenia, której nie jest wszystko jedno”. Zawiera się w tych słowach trafna ocena całego zjazdu, jego prac i jego uczestników. Zjazdu, który — podkreślał to w powitalnym przemówieniu Jerzy Szmajdziński — miał za zadanie sformułować odpowiedź na pytanie, jak działać dalej, jak ukształtować sytuację młodego pokolenia, jak sprostać oczekiwaniom rówieśników, ale także wszystkich tych, którzy z nadzieją obserwują poczynania organizacji, wierząc, że właśnie „ci młodzi są szansą i przyszłością”.

W innym przemówieniu, wygłoszonym w drugim dniu obrad w obecności najwyższych władz partyjnych i państwowych, przewodniczący ZSMP ponownie nawiązał do tych zadań, podkreślając, że sensem i istotą obecności młodzieży na tej sali jest służba młodemu pokoleniu. A zatem „praca, nauka i służba dla socjalistycznej ojczyzny, obrona tych wartości jest dziś najważniejszymi wyznacznikami pracy naszego związku”. Wystąpienie przewodniczącego wywołało wielki maraton dyskusyjny, trwający przez cały trzeci dzień zjazdu, aż do godzin wieczornych. Nie sposób, oczywiście, wymienić wszystkich problemów i spraw, jakie pojawiały się w wystąpieniach. Ważne wydaje się towarzyszące wszystkim młodym mówcom przeświadczenie o wielkości i ważności stojących przed nimi zadań. Stwierdzali, że wprawdzie nie wybierali sobie czasu na życie, ale wierzą, że nikt im nie zabroni tych czasów zmieniać. Mają przy tym świadomość — o czym przekonywał Jacek Lipski, student UMK z Torunia — że „uniknąć należy szlamy, działań pozornych, przerostu formy nad treścią”. Wiele mówiono o sprawach wewnątrzorganizacyjnych, z nadzieją, że „IV Zjazd ZSMP ma przedstawić receptę na poprawę kondycji związku”. Wreszcie niemal miejsca poświęcono sprawom bytowym młodego pokolenia. „Czy jest coś złego w tym, że młodzi marzą o dostatnim i spokojnym życiu?” — pytał słusarz z Kopalni „Wujek” Kazimierz Sołtys. Po-

Inaczej niż ojcowie

Lidia Wójcik



wracały problemy budownictwa, bo jest to „narodowy problem Polaków”. O tej sprawie rozmawiałam także z przedstawicielami delegacji lubelskiej. Wskazywali na trudną sytuację w tej dziedzinie, głównie w samym Lublinie. Zabłokowanie budownictwa patronackiego, kłopoty z pozyskiwaniem uzbrojonych terenów, trudności w zawieraniu umów i współpracy ze spółdzielniami mieszkaniowymi, a szczególnie w realizacji jakichkolwiek umów. Słusznie stwierdził w swym wystąpieniu Andrzej Słusarz, słusarz z Częstochowy, że „papier przyjmie wszystko, betoniarka tylko cement”.

Ważne miejsce na forum dyskusyjnym zajęły głosy delegatów ze wsi i małych miasteczek, poświęcone sprawie mizernego stanu kultury na wsi. Opowiadano, jak organizacja samodzielnie buduje świetlice, boiska, napotykać przy tym na trudności i opór ze strony rozmaitych urzędników gminnych i małomiasteczkowych.

Dyskusjom przysłuchiwali się przedstawiciele władz. Wicepremier Mieczysław F. Rakowski, zabierając potem głos, nawiązał do tych wystąpień, zapewniając, że „sprawy młodzieży są w centrum uwagi rządu, w centrum uwagi partii, co zrozumiałe, bo stanowicie większość narodu”. Ale jednocześnie nie przekonywał wcale, że będzie lepiej, że trudności znikną. Próbował raczej uświadomić młodym, że te problemy i kłopoty, zarówno natury bytowej, jak i w dziedzinie walki ideologicznej, będą trwać jeszcze długo. Burzliwymi oklaskami przyjęto końcowe słowa wystąpienia mówcy: „Można ogłosić ludziom pracy w Polsce, że losy socjalizmu dziś i jutro spoczywają w dobrych, pewnych rękach”.

W drugim dniu zjazdu w godzinach przedpołudniowych delegaci obradowali w szesnastu zespołach problemowych. Dyskutowano m.in. o potrzebie doskonalenia stylu i metod pracy wewnątrzorganizacyjnej; nad uczestnictwem ZSMP w kształtowaniu twórczego stosunku do pracy i o problemach politecznicacji; na temat uczestnictwa związku w upowszechnianiu i wspieraniu kultury; o udziale młodzieży w budowaniu lepszych warunków startu życiowego i zawodowego młodego

pokolenia. Obradowano także nad sprawami wsi, jej rozwoju, wskazując m.in. na problemy związane z modernizacją i mechanizacją rolnictwa i na codzienne kłopoty, kiedy „nowe maszyny są niesprawne, a gwoździł wbić do sztachety nie można”. W innych zespołach dominowały tematy związane z obecnością ZSMP w środowisku akademickim, udziału organizacji w wychowaniu socjalistycznej inteligencji, wreszcie wpływu ZSMP na umacnianie wychowawczej funkcji szkoły. Ważne miejsce w zespołowych debatach zajęły również sprawy sportu, turystyki oraz ochrony środowiska.

Przysłuchiwałam się dyskusjom w zespole obradującym pod hasłem: „Zadania ZSMP w kształtowaniu ideowych i politycznych postaw młodzieży”. Punktem wyjścia obszernej i wielowątkowej dyskusji było określenie trudności i przeszkód, z jakimi zmagają się związki, prowadząc kształcenie ideowo-polityczne. Zwracano uwagę na istnienie w naszym społeczeństwie alternatywnych systemów kształtowania postaw, istnienie barier w dostępie do wiedzy i utrzymujący się wciąż elitaryzm „górných piętler” oświaty oraz na brak synchronizacji działań wychowawczych. Mówiąc o edukacji politycznej, ekonomicznej, historycznej, światopoglądowej, delegaci zwracali uwagę na konieczność upowszechniania wiedzy wolnej od mitów i uprzedzeń, obiektywnej i konkretnej. Sformułowano nawet radykalne hasło: „wiedza zamiast entuzjazmu!”

Ciekawy i nie obciążony frazeologią wydał mi się głos delegata z województwa kieleckiego, robotnika z Huty im. M. Nowotki w Ostrowcu, wskazujący na potrzebę dokonania analizy zjawiska nieskuteczności dotychczasowego wychowania ideologicznego. „Ideologia będzie spełniać swoją funkcję, jeśli będzie w zgodzie z aspiracjami ludzi. Zawiedzione aspiracje odbijają się niekorzystnie na stanie świadomości. [...] Młodzi muszą iść do socjalizmu inaczej, niż ich ojcowie” — oto wyjątki z tego wystąpienia. W czasie przerwy pytam delegata: „Chcecie iść inaczej, to znaczy jak?” W odpowiedzi słyszę: „Nasza koncepcja pracy w organizacji, na terenie huty, zmierza ku podejmowaniu działań, które interesują naszych członków. Naczel-

nym zadaniem jest ideologia, ale ludzie muszą widzieć w działaniach ZSMP sens praktyczny. ZSMP musi również służyć sprawie doskonalenia, ulepszania naszego życia, pracy, rozjaśniania naszej codzienności. Chcemy przy tym pozyskać uznanie całego społeczeństwa. Dlatego chcemy iść nieco inną drogą niż nasi ojcowie, musimy być przede wszystkim wykształceni politycznie, świadomi prawd i wartości, po których stronie się opowiadamy”. Ten problem pojawiał się w refleksjach jeszcze innych moich rozmówców.

Zasadniczo zjazd odbywał się w Sali Kongresowej, ale organizatorzy zadbali i o to, by goście i delegaci mogli atrakcyjnie spędzić przerwy. W pierwszym dniu debat kulturalny wypełnione były spletanymi kolejkami, zwłaszcza przy stoiskach książkowych, ponieważ „rzucano” a to „Sztukę kochania”, a to „Kuchnię polską”. Koszule i bluzki, w pełnej numeracji, choć tylko w dwóch kolorach, sprzedawano bez żadnych ograniczeń. Wreszcie wielką „atrakcją” stanowiły rozmieszczone w kulturalnych komputerach, przy których pomocy można było uzyskać wszelkie informacje na temat zjazdu. Wielu młodych po raz pierwszy miało okazję zweryfikowania opowieści o komputeryzacji naszego społeczeństwa, krążących w środowiskach masowego przekazu. Specjaliści z Przedsiębiorstwa Systemów Komputerowych „Mera-System” objaśniali zasady działania tej „wszechmocnej” maszyny, która może zastąpić (w zależności od ustawienia na określony „bank informacji”) gazetę, maszynę do pisania, może być rozrywką (gry komputerowe). Są już komputery polskiej produkcji — jak zapewniają specjaliści — droższe, a przy tym niższej jakości, niż te z importu. Ale za lat dwadzieścia będą już chyba dostępne każdemu obywatelowi, w jego mieszkaniu. Tylko czy mieszkania będą już wówczas powszechnie dostępne?

Nie wszystkich młodych interesują sprawy rozwoju techniki. Niektórzy ustawiają się w kolejkach, inni na korytarzach, w rozgwarze, dymie, kontynuując dyskusje zapoczątkowane w sali, nawiązując do wystąpień kolegów, porównując z sytuacją we własnym regionie.

Próbuję precyzyjnie się do barku kawowego. Zatrzymuje mnie grupa młodych chłopców, przyjechali ze wsi Lelis, to na Kurpiach, gdzie koło Ostrołęki. Jeden z nich, dwudziestoparoletni, jest sołtysiem wsi. Opowiadają, jak forsują na siłę rozmaite pomysły. Jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych były we wsi same strzechy i błoto. Teraz wybudowali sobie drogę i Gminny Ośrodek Kultury, wszystko „na własną rękę”. Działają inaczej, niż powszechnie się to czyni. Budują nie pytając nikogo o zgodę, plany i projekty, bo przecie we wsi „jest i murarz, i cieśla, i szklarz, a cegłę to każdy może podawać”. Zapewniają, że potrafią jeszcze mówić gwara kurpiowska. Co roku na Święto Ludowe urządzają sobie wielkie widowiska obrzędowe. Chcą się przebrać w stroje regionalne, znają dawne zwyczaje, pieśni. „Niech pani przyjedzie do nas. W Lelisi można jeszcze zobaczyć kawałek polskiej wsi”.

Przy kawie spotykam delegata z Puław, jednego z 31-osobowej grupy z województwa lubelskiego. Działa w organizacji od kilkunastu lat, obecnie zajmuje się kształceniem ideologicznym w liczącej dwa tysiące członków organizacji miejskiej w Puławach. Wymieniamy uwagi na temat wrażeń, jakie niesie zjazd, potem mówię o swojej pracy w organizacji. Niepokoi go zjawisko niskiej świadomości ideologicznej młodych ludzi. Powiada, że „wielu członków ZSMP w ogóle nie zna marksizmu i tym samym nie posiada argumentów w obronie idei, za którą się opowiada”. Wreszcie narzeka, że są liczne niedostatki i bariery w działalności organizacji: „Większość młodych ludzi garnie się do Kościół, który może zapewnić im bardziej atrakcyjną formę działalności kulturalnej, rozrywkowej, niż ZSMP. Organizacja ma też trudności lokalowe”. „A Dom Chemika? — pytam. — Czy nie możecie tam organizować pewnych form działalności?” „Teoretycznie możemy, ale czy pani wie, co znaczy administracja, biurokracja?”

Wiem. Wierzę jednak, że dla młodych nie są to żadne przeszkody.

ROK PIERWSZY W ŻÓLTEJ WILLI

Gabriela Danielewicz

PO raz pierwszy zobaczyłam tę willę przed wojną, kiedy spędzałam wakacje w Orłowie i pewnego popołudnia wybrałam się na spacer, aż do Sopotu, jak się wówczas mówiło. Celem mojej wędrowki było obejrzenie Opery Leśnej. Kiedy pełnymi zieleni ulicami z secesyjnymi willami szłam w kierunku lasu, w bocznej uliczce, tonącej w kwitnących lipach i czerwonych jarzębniach, ujrzałam piętrową, żółtą willę, cofniętą w głąb ogrodu, z tarasem i spadzistym dachem, ozdobioną wieżyczką. Zatrzymałam się i jakkolwiek willa nie odznaczała się szczególnie niezwykłą formą architektoniczną, wzbudziła mój zachwyt. Nie wiem, co spowodowało moje olśnienie? Czy sprawił to mały wodotrysk w kształcie amorka, otoczony rododendronami, przy zwirowanej ścieżce wiodącej do bramy wejściowej? Czy smukła strzelista wieżyczka, zakończona iglicą? A może starannie wypielęgnowany ogród, pełen gladioli, malw, irysów i floksów? Czy też altanka porośnięta dzikim winem, dyskretnie stojąca z boku przy parkanie?

Z parteru willi oszklone drzwi werandy przez kamienne schodki prowadziły wprost na różany klomb. Rosły na nim purpurowe, białe i herbaciane róże o intensywnej woni, dobiegającej aż na ulicę. Stałam długo, patrząc na tę willę w zamyśleniu. Nie przypuszczałam wówczas, że to moje ostatnie wakacje, że wkrótce wybuchnie wojna.

Podczas ciężkich, okrutnych lat okupacyjnych, kiedy straciłam rodziców i dom i przeżywałam gehennę strachu, poniewierki i głodu, wracałam myślą do ostatnich wakacji i przypominałam sobie żółtą willę z ogrodem, znajdując w mglistym wspomnieniu ukojenie. Willa pod lasem była w moim pojęciu oazą ciszy i spokoju, wytchnieniem wśród kwiatów i drzew, i dlatego tak bardzo chciałam zobaczyć ją jeszcze. Toteż kiedy w zrujnowanej Warszawie dobiegła mnie wieść pod koniec marca 1945 roku, że Sopot został oswobodzony, postanowiłam bez wahania udać się na Wybrzeże.

Przybyłam do Gdańska na początku kwietnia z jedną z pierwszych grup operacyjnych (tak się wówczas mówiło). Podróż odbywała się w fatalnych warunkach. Jechaliśmy niesprawną ciężarówką, psującą się co parę kilometrów, głodni, zziębnięci, ale pełni zapału i radości czekającym nas nowym życiem w wolnej Polsce. Trudno sobie wyobrazić entuzjazm tamtych dni, zgasiły go potem ciężkie lata powojenne, nie pozbawione goryczy i rozczarowań, ale wtedy był on szczery, naturalny i dlatego tak potężny! I nie tylko odgrywały rolę moje młodzieńcze lata, podobnie czuli wszyscy, niezależnie od wieku, pochodzenia i pozycji zawodowej. Kiedy przejeżdżałimy przez Gdańsk, całkowicie zburzony w śródmieściu, dogasały jeszcze pożary, w powietrzu było pełno dymu, a wśród gruzów masy trupów. Nawet po zgłiszczach Warszawy obraz unicestwionego Gdańska wywierał wrażenie.

Za to Sopot powitał nas niemal przedwojennym widokiem. Spokojne ulice działały kojąco. Nie czekając na zakwaterowanie, pierwsze kroki skierowałam w stronę lasu. Była wczesna wiosna, drzewa stały jeszcze оголоcone, po pustych ogrodach hulał wiatr. Żółta willa pod lasem stała właściwie nietknięta, jakby nie było wojny, zniszczeń i koszmarnego ludzkiego udręki. Pełniałam furtkę i weszłam do ogrodu. Wiosenne powietrze łagodnie pachniało wilgocią. Rozejrzałam się wokół i dopiero dostrzegłam pewne ślady zniszczenia. Strzaskany amerek leżał wśród rozrzuconych kamieni, część parkanu była wylamana. Pora roku ogolociła ogród z zieleni i kwiatów i przez to nabrala żalostnego smutku. Spod rozpułchnionej ziemi nie miało wylaznąć białe śnieżyczki i niebieskie przyłasczki. To nastroiło mnie optymistycznie i zastukałam w masywne drzwi wiodące do wnętrza. Długo nikt nie otwierał, chociaż słyszałam rozmowę prowadzoną po niemiecku. Stukałam nieustannie, coraz głośniej i natarczywiej, aż drzwi uchyliły się i w szparze ujrzałam wystraszoną kobietę w średnim wieku. Na mój widok nieco się uspokoiła. Była to Elżbieta, Kaszubka spod Kartuz, która mieszkała w willi od przeszło dwudziestu lat. Przybyła do Sopotu jako młoda dziewczyna, aby zająć się gospodarstwem bezdzietnych właścicieli willi, państwa Volgemuth.

Właściciele zajmowali całe piętro — pięć pokoi z kuchnią, łazienką, spiżarnią, werandą i tarasem. Herr Volge-

muth był dyrektorem jednego z gdańskich banków i kiedy zjawili się w willi, już nie żył. Zmarł nagle na serce w czasie walk o wyzwolenie Sopotu. Elżbieta opowiedziała mi później o okolicznościach śmierci chlebodawcy i pokazała grób w ogrodzie koło studni, za willą, w którym pośpiesznie go pochowano. Właściciele byli przeciwnikami Hitlera i w czasie wojny nie udzielali się towarzysko. Przechowywali jakiś okres na strychu swego znajomego, Żyda z Getyngi, i od tego czasu stali się przesadnie ostrożni. Elżbieta była jedynym łącznikiem Frau Erny ze światem.

Natychmiast postanowiłam zostać w żółtej willi. Na parterze znajdowało się identyczne mieszkanie jak na piętrze, z tym tylko, że zamiast tarasu była druga weranda. Parter w czasie wojny zamieszkiwał nauczyciel, fanatyczny hitlerowiec, o czym mogłam się przekonać, znajdując różne portrety i zdjęcia führera. Na parterze jeden pokój zajmowała znajoma Frau Erny z dwiema córkami, gdańszczanka. Uciekły z płonącego domu w śródmieściu i jak stały, przybiegły do Sopotu.

Zajęłam pokój z werandą wychodzącą na ogród. Zastalam wewnątrz w nienaruszonym stanie, jeszcze nie zdążyli spłądować go szabrownicy. Tak więc miałam pełny wystrój salonu: biedermeierowski kredens z pomocnikiem, dwa kluby, puszysty dywan, wielki fotel, stojącą lampę z jedwabnym abażurem i etażerkę pełną książek, oczywiście niemieckich. W kącie stało pianino, ale za to nie było łóżka ani kanapy. Wąziutka sofka służyła do siedzenia, więc na noc przysuwałam do niej fotel. Leżałam nieruchomo, z podkurczonymi nogami, na boku, bo inaczej groził mi upadek. Wstawałam niewyspana, zmęczona i obolała.

Mieszkańcy dwu sąsiadujących z salonem pokoi — dwa spokrewnione małżeństwa z Łodzi — zachowywali się głośnie i hałaśliwie. Moje przybycie przyjęli z niezadowolaniem. Podobno rezerwowali salon dla kogoś z rodziny i być może dlatego nie był on ogolony. Ale nie otrzymali na niego przydziału, bo ich uprzedziłam. Dziwna to była rodzina! Całymi dniami plądrowali opustoszałe mieszkania i wracali obladowani tobołami. Czynili zakusy na mieszkanie Frau Erny, słyszałam przez ścianę, jak o tym rozmawiali.

W całej willi było zimno, bo zabrakło węgla w piwnicy. W nocy marzłam i nogi mi cierpły, ale rano biegłam rozradowana do Urzędu Miejskiego, gdzie otrzymałam posadę. Dysponowałam warszawską maturą z tajnych kompletów i to wywierało wrażenie. Urząd Miejski mieścił się w dawnym hotelu „Polonia” przy ulicy Haffnera (dziś Sobieskiego). Z początku byłam zatrudniona w sekretariacie i robiłam wszystko, czego wymagała dana chwila. Nie liczyłam ani dodatkowych godzin spędzonych w urzędzie, ani niedziel przeznaczonych na pracę. Nie myślałam o wypoczynku i rozrywkach, nawet zbliżające się lato nie kusiło potrzebą znalezienia krawcowej i szewca. Przyjechałam do Sopotu z plecakiem o skromnej zawartości i na razie nie uzupełniałam garderoby. Nie wiem, co nosiłabym w to pierwsze, powojenne lato, gdyby nie Elżbieta, która ukradkiem, żeby nie zobaczyli łodzianie, przyniosła mi dwie markietowe sukienki, sweter i białe pantofle. Aby rozwiać moje obłeki, powiedziała, że Frau Erna i tak wyjedzie do Niemiec w ramach repatriacji i nie zabierze wszystkich rzeczy, a ponieważ łodzianie tylko na to czekają, lepiej, żebym ja te rzeczy miała.

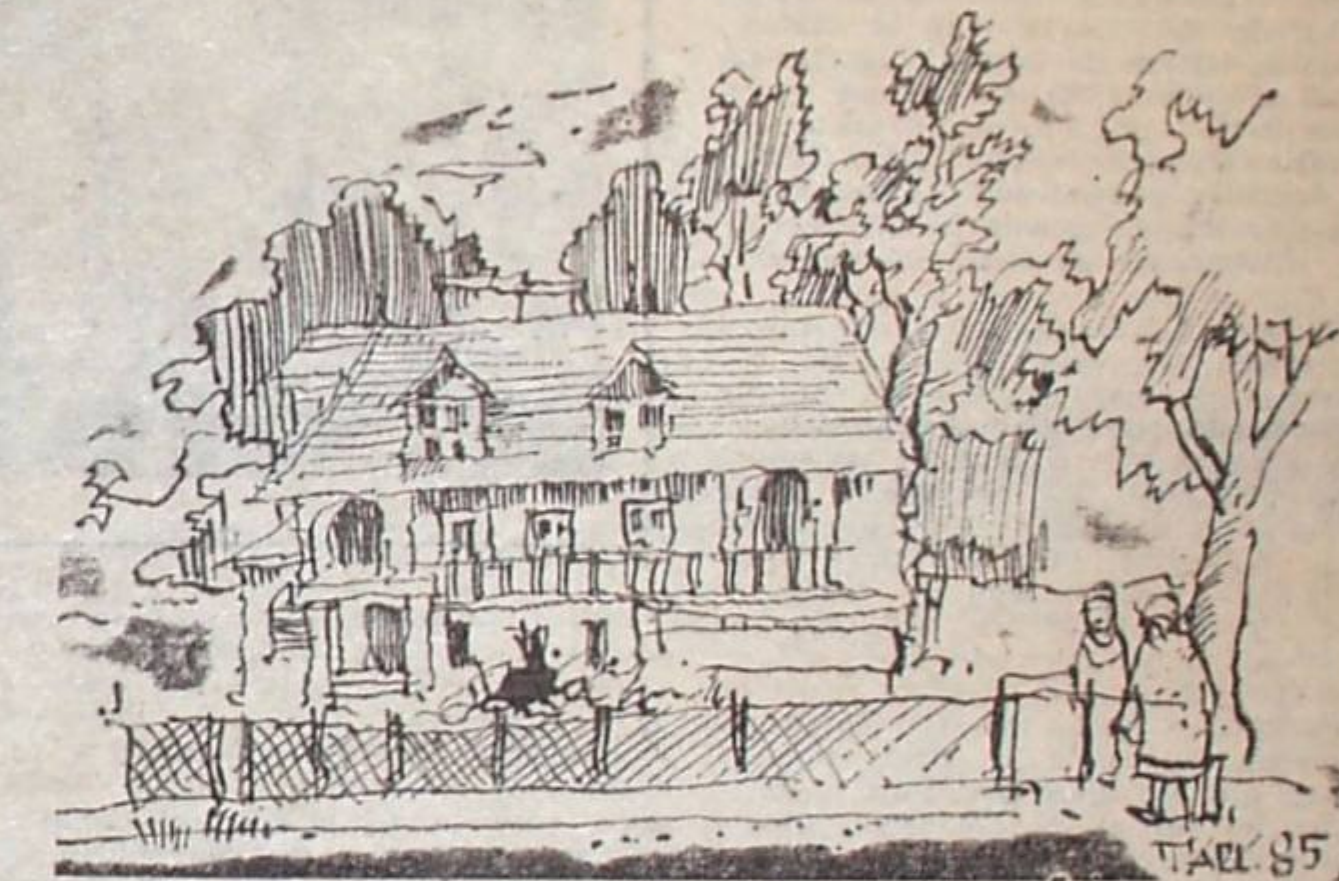
Łodzianie panoszyli się w willi coraz śmielej i nie czekając na wyjazd Frau Erny, zagarnęli na piętrze

dwa pokoje. Z tego powodu wybuchł wkrótce skandal. Przydział na pierwsze piętro otrzymał jakiś warszawiak z żoną i siostrą. Łodzianie nie chcieli go wpuścić, doszło do rękoczynów i warszawiak okazał się silniejszy. Łodzianie zostali na dole. Frau Erna nie wyszła na tym dobrze, bo warszawiak od razu poczuł się niczym właściciel willi i ciągle krzyczał, że już najwyższy czas, aby oczyścić Polskę z Niemców. Łodzianie mu wtórowali i wzajemne zacietrzewienie pogodziło ich.

Któregoś wieczoru, kiedy czytałam w półmroku, przyszła do mnie Frau Erna z Elżbietą, płacząc. Tonem nie uznającym sprzeciwu warszawiak za-

mapami, globusami — które zwołałam w salonie po nauczyciela-faszystę.

Cieszyłam się swoim pokojem. Wieczorami czytałam, czasem grałam i snułam plany na następny dzień. Od jesieni miałam mało wolnego czasu, bo włączyłam się w niedzielne akcje odgruzowywania Gdańska. Trwało to aż do wiosny. Kiedy nie szłam na odgruzowywanie, spacerowałam po mieście. Sopot o każdej porze roku posiadał swoisty czar. Ulica Bohaterów Monte Cassino z miesiąca na miesiąc zyskiwała nowy sklep czy obiekt użyteczności publicznej. W jesieni 1945 roku działał już na tej ulicy Teatr Dramatyczny; nowo otwarta kawiarnia „Złoty Ul” rozbrzmiewała muzyką i gwarem; szpital wojskowy, mieszczący się w dawnym kasynie gry, pod koniec roku został zlikwidowany i budynek przejęło przedsiębiorstwo żeglugowe.



Rys. Józef Tarłowski.

komunikował im, że sprowadza resztę rodziny i potrzebny mu jest ich pokój. Żadnych przedmiotów nie pozwolili im zabrać. Odtąd zamieszkały na parterze w pokoju gdańszczanki, gdyż pozostałe pomieszczenia były zajęte.

Pokój z werandą od ulicy przypadł spokojnej, siwowłosej pani z kilkunastoletnim synem. Pani Helena przeżyła wojenny koszmarny. Mąż stracił na froncie, starszego syna w powstaniu warszawskim, sama kilka lat była w Oświęcimiu. Nie obnosiła się jednak ze swymi przeżyciami, była smutna, lecz pogodna, i szybko rozpoczęła pracę. Komunikacja w tym czasie przedstawiała się fatalnie, pociągi jeździły nieregularnie, autobusów do Gdańska jeszcze nie uruchomiono. Pani Helena, otrzymawszy pracę we Wrzeszczu, chodziła kilka kilometrów pieszo. Nie przerażała jej ani słotna jesień, ani groźba zimy, ani prawie pusty pokój, spłądowany przez łodzin. Dla niej najistotniejsze było to, że żyła i odnalazła się z synem.

Warszawiak nie utrzymał całego piętra, mimo że miał zameldowane martwe dusze. Dokwaterowano mu nauczyciela, pana Leona, który przybył z Zachodu. Miał za sobą kampanię włoską, walczył pod Monte Cassino. Pan Leon był entuzjastą swojego zawodu, kochał młodzież i od razu organizował szkolnictwo. Został kierownikiem szkoły w Gdańsku; wychodził o świcie, by pokonać trudność komunikacyjną. Szkoła, jaką miał kierować, znajdowała się w opłakany stan. Na wpół zburzony budynek sterczał wśród ruin. Pan Leon wraz z innymi nauczycielami najpierw uporządkowali teren, potem oczyścili budynek, wstawili futryny, szyby. Nie było żadnych mebli ani przyborów szkolnych. Pan Leon objeżdżał okoliczne wsie i gromadził, co się dało. I ja wspierałam jego szkole pomocami geograficznymi — atlasami

nia „Złoty Ul” rozbrzmiewała muzyką i gwarem; szpital wojskowy, mieszczący się w dawnym kasynie gry, pod koniec roku został zlikwidowany i budynek przejęło przedsiębiorstwo żeglugowe.

W pierwszych latach po wojnie Sopot spełniał ważną rolę w życiu kulturalnym i społecznym. Mało zniszczony, położony w połowie drogi między Gdańskiem a Gdynią, stwarzał dogodną bazę dla wielu działaczy i inicjatyw. Nazywano go też sypialnią Gdańska. Właśnie w Sopocie nastąpiło odrodzenie ruchu literackiego, muzycznego i plastycznego. Tutaj powołano do życia pierwsze wyższe uczelnie. Już w 1945 roku zapoczątkował działalność Instytut Muzyczny przy ulicy Obrońców Westerplatte. Placówka ta pogłębiła w sopocjanach zamiłowanie muzyczne, i czasem powstały dalsze szkoły muzyczne.

Jako pracownik kultury, miałam duże styczności z muzyką w tym okresie, zwłaszcza że w dzieciństwie uczyłam się muzyki, a posiadanie pianina skłaniało do odnowienia kontaktu z instrumentem. W zimie, kiedy nie miałam węgla, grałam etudy i to mnie rozgrzewało. Za to łodzianie pukali w ścianę, bo akustyka była jedną z największych zmór tego wspólnego mieszkania, nie mówiąc już o kolejce do łazienki. Słyszałam każdy głos zza ściany i dlatego pierwsza z willi doświadczałam się, że łodzianie zamierzają opuścić Sopot.

Wyjechali do Koszalina, gdzie podobno zajęli całą willę. Ich wyjazd zbiegł się z opuszczeniem Sopotu przez Frau Ernę. W przeddzień wyjazdu przyszła do mnie pożegnać się. Rolę tłumaczki spełniła zapłakana Elżbieta. Frau Erna była bardzo powściągliwa w słowach i podarowała mi srebrny lichlarzyk. W owym czasie często gasło światło, więc podarunek okazał się pożyteczny.

Wieczorem u Rodczenki

Warszawiak rozkręcił już handel, miał sklepik w Gdyni przy Starowiejskiej i około ósmej wychodził z domu. Warszawianka mówiła mi, że mąż chciałby objąć przedstawicielstwo handlu śledziami na Polskę. Ludzie praktyczni myśleli o sklepach i przedstawicielstwach handlowych, a fantasty i marzyciele pragnęli przekształcić Sopot w przężny ośrodek kulturalny. Bliska przyszłość pokazała, że marzenia drugich okazały się realne i trwałe. Przyłożyłam do tych osiągnięć również swój skromny wkład. I to nie tylko z racji pracy w kulturze, ale dzięki skromnej własnej inicjatywie szerzenia oświaty wśród dzieci z rodzin polonizowanych.

W Sopocie mieszkali Polacy, którzy w czasach hitlerowskich odważnie przyznawali się do swego pochodzenia i z tego powodu dużo wycierpieli od Niemców, byli prześladowani, więzieni, wielu z nich zginęło bohaterską śmiercią. Znajdowała się jednak niezliczna grupa takich, którym brakło siły i odwagi do walki o polskość i ukrywali swoją narodowość. Po wyzwoleniu opowiedzieli się za Polską, bo przecież byli Polakami i nie chcieli opuścić Sopotu. Dzieci tych rodzin często nie umiały czytać i pisać po polsku, a niekiedy i mówić. Niektóre bezlitośnie kaleczyły naszą mowę. Kilka osób, między nimi i ja, podjęło akcję nauczania ojczystego języka dzieci z tych rodzin. Zanim udały się do szkoły, przechodziły przeszkolenie. Lekcje odbywały się w prywatnych mieszkaniach, bardzo często u mnie.

Kiedy spostrzegłam zainteresowanie dwóch dziewczynek śpiewem i muzyką, zaproponowałam im lekcje gry na pianinie. Okazały uzdolnienie i chęć, co nieczęsto idzie w parze. Ćwiczyły oczywiście na moim instrumencie, o co miałam nieprzyjemności z nowymi sąsiadkami, zajmującymi miejsce łodzian. Po latach okazało się, że dobrze uczyłam. Jedną z moich uczennic ukończyła wyższe studia muzyczne i dyplom jej uznałam za część swojej wytrwałości i intuicji.

Udzielanie lekcji muzyki skłoniło mnie do rozszerzenia własnego repertuaru. Na szczęście w moim „salonie” nie brakowało nut; znalazłam Bacha, Brahmsa, Berliozę, Lisztę i nawet ukochanego Chopina. Ogromna ilość nut podsunęła mi myśl, aby przekazać je panu Zbigniewowi Turkiemu, naczelnikowi Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego, mieszczonego się wówczas w Sopocie. Pan Turski znałby był jako wielki miłośnik muzyki. Nuty zaniósłam mu osobiście i dowiedziałam się wtedy o powołaniu w niedługim czasie filharmonii w Sopocie. Wiadomość ta podzialała nie tylko na mnie mobilizującą. Więc jednak coś się dzieje! Ledwo umilkły strzały i ugasiły pożary, odezwie się polska muzyka.

Dzień otwarcia filharmonii uświetnił uroczysty koncert. Odbył się w sobotę 29 września 1945 roku. Uczestniczyłam w nim wrzuszona i przejęta doniosłością chwili. Wybrałyśmy się z panią Heleną. Parę dni wcześniej przyszyłam do swej granatowej markizetowej sukni biały koronkowy kołnierzyk i mankiety, wyszukane przez Elżbietę w szufladzie starej komody. Koncert odbył się w Domu Katolickim, przedwojennym Domu Polskim, przy ulicy Chopina, dziś już nie istniejącym. Czy dla podniesienia nastroju, czy dla zabezpieczenia przed wyłączaniem prądu, wokół estrady, na gzymsach, parapetach płonęły świece. Na salę zobaczyłam wiele znanych osób, odświętnie wyglądających w półmroku. Obecna była cała elita miejska i oficjalne delegacje, chyba nawet z Warszawy. Nie obeszło się bez przemówień, ogólnego rozrzewnienia, wiele osób płakało. Do dziś pamiętam podniosłą atmosferę tamtego wieczoru i ogromne kosze kwiatów dla artystów. W programie koncertu znalazły się wyłącznie polskie utwory, koncert fortepianowy — moll Chopina w wykonaniu Jana Ekierta, fragmenty oper Moniuszki. Dyrygował niezastąpiony pan Turski.

Niedługo znów czekało Sopot ważne wydarzenie kulturalne. 27 października rozpoczął działalność Teatr Dramatyczny umiejscowiony w sali dawnego kina przy ulicy Bohaterów Monte Cassino. Dyrektorem teatru był Aleksander Gąsowski, w którego mieszkaniu już przedtem odbywały się spektakle.

W kilka miesięcy po zakończeniu wojny imprezy sopockie świadczyły o prężnym środowisku, które rozbudzało i ożywiało kulturę w mieście. Entu-

zjastów i zapaleńców nie brakowało i mimo przysłowiowego głodu i chłodu, spragnieni polskiej muzyki, książki i pieśni ludzie garnęli się na koncerty, sztuki teatralne i wieczorki literackie bez żadnego namawiania, bez nacisku, wyłącznie z własnego pragnienia. Często rezygnowali z obiadu, by pójść na koncert, a ostatnie niemal pieniądze przeznaczali na kupno książki.

W jesieni mieliśmy już w Sopocie prywatną księgarnię przy ulicy Stalina (obecnie Aleja Niepodległości). Księgarnia była mała, z wypożyczalnią, ciasna, lecz dzięki miłemu właścicielowi, prawdziwemu bibliofilowi, panowała w niej uroczą atmosferą. Można było do woli oglądać książki, dyskutować o nich, wypowiadać swoje poglądy, nawiązywać znajomości.

Właśnie w tej księgarni spotykali się pisarze i literaci, zanim otrzymali swoje lokum. Pierwsi zorganizowali się w Sopocie muzycy i plastycy, literaci dopiero na początku sierpnia. Ale już wcześniej pan Feliks Smosarski, pracownik Wydziału Kultury, zainicjował w swoim mieszkaniu spotkania przy muzyce. Odbywały się one co czwartek. Wieczorem, w willi przy ulicy Obrońców Westerplatte 17, schodzili się przede wszystkim ludzie pióra, znani i renomowani pisarze, jak również początkujący literaci. Na wieczorach czwartkowych nie spotykało się snobizmu, tylko naturalne i spontaniczne wyrażanie w słowach umiłowania literatury ojczystej. Można było tam poznać projekty pisarskie twórców, posłuchać fragmentów powstających utworów, usłyszeć o nowościach wydawniczych. Oprawą tych miłych, wartościowych spotkań były koncerty fortepianowe. Początkowo czułam się onieśmieszona wytrawnym towarzystwem, lecz swobodna, przyjemna atmosfera dominująca w spotkaniach i wdzięk gospodarzy, rozwiąły wszystkie obiekcje.

Wiele radości wywołał pierwszy wieczór literacki w Domu Literatów na rogu Powstańców Warszawy. Prelekcję prowadziła Irena Przewłocka, rozpoczynając nią cykl słynnych wieczorów nowej książki, odbywających się co środy. Do literatów chodziłam chętnie, kiedy tylko pozwalał mi na to czas.

Nadal uczyliśmy dzieci, nasze lekcje cieszyły się powodzeniem, uczniów wciąż przybywało. Niekiedy przychodzili z dziećmi rodzice i przysłuchiwali się lekcjom. Dla wielu z nich było to przypomnieniem lat dziecięcych, kiedy podobnie uczyli się języka polskiego w tajnych szkołkach. Widząc ich zainteresowanie książką, podsuwałam im ciekawe tytuły powieści, zachęcałam do czytania gazet i czasopism.

Glód książki polskiej wśród dawnych mieszkańców Sopotu podsunął mi myśl zorganizowania wystawy, o brazującej przeglądowo dorobek naszej literatury. Scenariusz ekspozycji zrobiłam sama, oparłam się na cytatach i urywkach z różnych dzieł. Syn pani Heleny zadbał o stronę plastyczną, która wypadła niezmiernie atrakcyjnie. Wystawę oczywiście umieściłam w „salonie” z werandą. Ekspozowane książki ułożyłam na meblach i parapetach, a obwołoty powiesiłam na ścianach. Udało mi się zebrać ponad dwieście książek. Zdobylam je drogą wypożyczeń od znajomych, zasilili mnie gdynianie, lecz największą niespodziankę sprawił kto inny. Do pokoju po Niemkach wprowadził się pan w średnim wieku, bardzo poważny i małomówny, bez lewej ręki. Przyszedł bez żadnych rzeczy z wyjątkiem wielkiej, czarnej walizki, którą otaczał szczególną troską. Nie zawarł z nikim z nas znajomości, całe dni spędzał zamknięty w pokoju. Raz tylko powiedział, że stracił całą rodzinę. Kiedy organizowałam wystawę, wspominałam mu o braku książek, nie licząc zresztą na pomoc. I wtedy mnie zadziwił. Sam zaofiarował swe najcenniejsze skarby, jakie ocalały mu z wojennej pożogi i mieściły się w dużej walizce — książki. Był to dla niego widocznie wzniosły cel ta wystawa, skoro mi je udostępnił. Wystawę otworzyłam w maju, w rok po przyjeździe do Sopotu. Kiedy przez pokój przewijali się obcy ludzie, z pietysmem oglądający ekspozowane dzieła, widziałam w ich oczach radość, podziw i dumę. Zrozumiałam wtedy, że tym sposobem przemówiłam do nich skuteczniej niż płomienną mową i z uczuciem satysfakcji rozpoczynałam drugi rok życia w Sopocie.

Praca z konkursu „Kamień” na wspomnienie z okazji 40-lecia Polski Ludowej. Publikujemy ją z nieznacznymi skrótami. Red.

BYŁO to w Moskwie, w listopadzie minionego roku, wieczorem, a stało się dzięki życzliwości pani Barbary Saweckiej, którą poznałam na seminarium poświęconym naszej współczesnej kulturze artystycznej, obdarzonej przez nią szczególnym zainteresowaniem i zwyczajnym sentymentem. Biegła władająca językiem polskim. Sawecka szybko rozpoznała moje słabości, zatelefonowała do pewnego domu przy ulicy Kirowa, a potem oznajmiła, że oczywiście mogą złożyć wizytę córce Aleksandra Rodczenki. Trochę mi dech zaparło, bo dzieje awangardy radzieckiej miałem już jakoś poukładane w muzeum wyobraźni, gdzieś w głębi pamięci, a tu tymczasem pojawia się okazja poznania kogoś, kto wyrastał wśród artystów, którzy wstrząsnęli światem czy nawet bezpośrednio uczestniczyli w rewolucji społecznej, wspomagając ją własną twórczością. Na domiar wszystkiego ten ktoś był dzieckiem jednego z najwybitniejszych konstruktywistów-produktywistów, człowieka o niesłychanej energii, który zajmował się właściwie wszystkim: malarstwem, fotografią, projektowaniem kiosków gazetowych, mebli, filiżanek, grafiką książek, reklamą i plakatem, scenografią filmową i teatralną, w tym do premierowej inscenizacji „Pluskiwy” Majakowskiego — w niejednej dziedzinie okazując się pionierem na miarę światową.

Odniosłszy zatem do hotelu „Rossija” dwa kilogramy cytryn (po 2 ruble kg) i dziesięć czekolad (1 rubel sztuka) oraz trzy paczuski z kawą „Arabika” (razem około „czerwońca”), wsiadłem w metro przy placu Nagina, niedaleko cerkwi „Trójcy w Nikitnikach”, która posiadając olśniewające w swym pięknie freski, poddawana jest zabiegom konserwatorskim od 1925 roku, co przecież nie przeszkadza w zwiedzaniu jej głównych, odrestaurowanych części — za jedne 40 kopejek.

Po dotarciu na ulicę Kirowa, bez trudu odnalazłem dom nr 20 — może neoklasycystyczny, może eklektyczny — by ciasną wiatrą wzniesie się na któreś tam piętro.

W mieszkaniu poznałem: Barbarę Rodczenkę, córkę Aleksandra; jej męża, Nikołaja Lawrientiewa; ich syna, Aleksandra Lawrientiewa; jego żonę, Irinę Priesniecową oraz Katię, dziecko tej młodej pary. Okazało się, że cała dorosła rodzina ma za sobą studia plastyczne i że wszyscy mieszkają w tym oto lokalu, w którym od 1922 roku żył i pracował Aleksander Rodczenko (zm. 1956 r.) wraz z żoną, Barbarą Stiepanową, także wybitną artystką z kręgu awangardy. Dowiedziałem się ponadto, że jestem oto w jednym z budynków słynnych Wyższych Pracowni Techniczno-Artystycznych (Wchutemas), powołanych w 1920 roku uchwałą Rady Komisarzy Ludowych RSFR, na której podpis swój złożył Lenin. To właśnie w tej uczelni, mającej kształcić „nowy typ artysty-konstruktora”, Rodczenko był dziekanem i profesorem wydziału obróbki metali. Jakby tego było mało na moje nerwy, oznajmiono, że mieszkanie zarejestrowane jest w odpowiednim urzędzie jako punkt muzealny — poczem poproszono mnie do stołu z ciastkami, kanapkami mięsno-warzywnymi i wódecznością, do której właściwie nikt z domowników nie wykazywał skłonności (zresztą ja już także mogę tylko wspomnieć czasy, kiedyym snem sprawiedliwego zaległ w łóżeczku dziecięcym u pewnego moskiewskiego Kirgiza).

Znalazłem się więc w miejscu niejako odwzorowującym pętlę czasu, zakrzywienie przestrzeni i chyba coś tam jeszcze. W rezultacie urządziłem małe przedstawienie, korzystając z rekwizytów znajdujących się w mieszkaniu. Krótko mówiąc, poniosło mnie nieco.

Przed wizytą na Kirowa 20 miałem okazję obejrzeć wystawę fotografii Rodczenki z lat 1920—1930, urządzoną w ministerialnym Instytucie Kultury, gdzie odbywało się wspomniane seminarium. Daruję sobie jednak recenzowanie owych znakomitych zdjęć, w tym fotomontaży, które inspirowały później kilka pokoleń fotografików. Wspomnę jedynie, że w tym zestawie znajdował się m.in. bezpretensjonalny dokument, wykonany przez A. N. Lawrientiewa, a przedstawiający „Roboczy stół A. M. Rodczenki”, na którym widniały: dwie kasety z farbami, przybornik, szczyrzyk, dwie pary okularów, okrągłe lusterko, pędzle w dzbanach, zegar szafkowy i lampa.

Kiedy więc w mieszkaniu zobaczyłem to wszystko w realnym wymiarze, usiadłem przed tym stołem, a właściwie biurkiem, nieczym fetyszysta pieszcząc palcami detale inwentarza. A siedziałem na drewnianym, gładkim krześle, pokrytym białą farbą, z którego po kilku minutach przeniosłem się na inne, białe, z tego zaś — na biały taboret. Były to mebleki stare, liczące ponad pół wieku, lecz wciąż sprawne, nie trzeszczące i wygodne. W końcu nie takie przecież ich walory skłoniły mnie do pójścia w ów tan pantomimiczny. To chyba Cwietajewa zalecała kiedyś wsluchiwanie się w to, co ma się do powiedzenia stare kanapy... Ale sens tego mojego przemierzania był jeszcze inny. Jasny wówczas, jeśli poinformuje, że na tychże krzesłach Rodczenko sadził niegdyś Majakowskiego, Lilj Brik, Dowżenka lub Katajewa, by uwiecznić ich wizerunki na płytach szklanych z emulsją, włożonych w wielki aparat mlechowy na statywie. Nikt z domowników nie był jednak w stanie wskazać, które z krzesel służyło do portretowania, no i na „wszelki wypadek” posiedziałem sobie troszeczkę na każdym meblu. Infantylnie, prawda? Naturalnie, ale kto z was siedział na krześle, które trzeszczało pod Majakowskim z czasów „Obłoku w spodniach”? A poza tym: czy nie macie czasami ochoty spocząć sobie na czymś, co jest eksponatem muzealnym, dokumentem epoki?!

Fotografie wywoływał Rodczenko także w tym pokoju, w małej kłitce bezokiennej, pod antresolą do sypnia. Rzutnik, który tam zobaczyłem, to była w istocie wielka rura, na pierwszy rzut oka przypominająca część instalacji kanalizacyjnej lub kominek piecyka zwanego „kozą”. Ale takie coś wystarczyło artystyce do obróbki nawet tak słynnych zdjęć, jak „Puszki — świerki” z 1927 roku, które do dziś nasładowuje się w świecie, ujmując pnie drzew w tzw. perspektywie żabiej.

Za życia Rodczenko tylko raz wyprawił się za granicę, w roku 1925 przebywał trzy i pół miesiąca w Paryżu, z okazji uczestnictwa w Międzynarodowej Wystawie Sztuki Dekoracyjnej i Przemysłowej, gdzie pokazał m.in. wnętrze klubu robotniczego, przekazane później w całości Francuskiej Partii Komunistycznej. Obecnie zaś...

Obok abstrakcyjnych obrazów Rodczenki i jego żony, na ścianie pokoju przy ulicy Kirowa widnieje plakat z 1978 roku, wydany przez Museum of Modern Art w Oxfordzie i zaopatrzony w taki napis: „First show in West”. Faktycznie, była to pierwsza wystawa twórczości Rodczenki na Zachodzie, obejmująca 50 prac i udokumentowana imponującym katalogiem, a przygotowana — no właśnie, przez kogo? Oczywiście przez Ministerstwo Kultury ZSRR.

Nie było to zresztą dziełem przypadku. W 1923 r. twórczość Rodczenki i Stiepanowej pokazano w Duisburgu i Baden-Baden, a w następnym roku — w Peruani i Rzymie. Oba ekspozycjom towarzyszyły luksusowe katalogi, których teksty autoryzował m.in. wnuk artysty, siegający po tytuł doktora na podstawie pracy o wzornictwie przemysłowym w Związku Radzieckim lat dwudziestych i trzydziestych. Także w roku 1934 Rodczenko i Stiepanowa uczestniczyli w wystawie „Seven Moscow Artists”, urządzanej w szanownej Galerii Gmurzynska w Kolonii, która okazała katalog wydała w kooperacji — no tak, z Ministerstwem Kultury ZSRR.

Wspomnijmy, że stosunkowo niedawno opublikowano w Moskwie tom pt. „Artykuły, wspomnienia, notatki autobiograficzne, pisma” Rodczenki, zestawione przez córkę artysty. Papier: różowy, reprodukcje: na kredzie, nakład: 10 000 egzemplarzy, cena: 1,60 rubla, wzięcie u czytelnika: takie, że śladu już nie ma po książce w księgarniach.

Familia i ministerstwo, urząd i rodzina — taki „sojusz na rzecz dobrej sławy Rodczenki” zdolny jest wynieść artystę na miejsce, jakiego poskapiono mu za życia.

Jeśli chodzi o mnie, to z mieszkania przy ulicy Kirowa wyniosłem: dobre wrażenie oraz znaczek z inicjałami „A. R.” (po rosyjsku „A. P.”), wpięty mi w kłapkę przez wnuka wielkiego konstruktywisty. No cóż, sam Rodczenko uczył szacunku dla detalu, który jest przecież elementem większej całości.

DEBIUTY POETYCKIE

Hona Cieślak

JESTES

Wciąż widzę cie jesteś
w zapadającym cicho zmroku
w zimowym wietrze
w ledwie widocznych konarach buka
nawet w nie istniejących cieniach
wczorajszejo dnia
i wciąż czekam na twoje ręce chociaż
są chłodne i szorstkie w dotyku
jak noc nad srebrzystym potokiem
i jak skały
na jego dnio

PROSBA

Nie szukam ciebie w bukiecie bzu
ani wśród skał spowitych mgłami
nie szukam też ciebie
na tajemnych ścieżkach moich snów
ani na dnie najcenniejszej lzy
i nie w zielonej siedmiolistnej koniczynie
i nie na rozgwieżdżonym leśnym niebie
proszę cie tylko
podaruj mi siebie

Jacek Jelinek

Ja wiem
Nie mam prawa przychodzić tutaj
Mgła
Oczy znużone
wszędzie ciemność
tylko w twoim pokoju blask lampki
Wysyłam do niej drzące cmy —

myśli moje

Natętnie biją
o zimne szyby obojętności
Musisz odejść stary —
szepczą mi do ucha

I chociaż nie jestem ten facet z gwiazd
bezcelnie chcę ująć cię za rękę
taką ciepłą
jedwabną
moją

Bogumiła Sobótka

Cóż Ci dam?
Gdy mój świat taki mały
Gdy zastygam na wietrze
i nieład mam wokół.
Niespokojnie biegnę przez życie
Zasmucona nieporządkiem świata.
lękam się, zrzucam pętle.
Męczą mnie gry, pozory
a tak często gram.
Czyż mogą gasić pragnienie
nie czując, że jestem źródłem?
Powiedz.

Jestem z Tobą nie będąc
Bo być mi nie pozwalasz
Powiedz — czy odeszłam w porę?
Powiedz czy musiałam odejść?
Wkładam monetę, obracam tarczę
i ręka marmurem!
Dwa małe słowa: nie mogę.
Bo cóż Ci dam
gdy mój świat taki mały,
gdy zastygam na wietrze
i nieład mam wokół.

Gdybyś nie przyszła tego dnia,
gdybyś nie przyszła.
Może zamknęłabym swoje szczęście w dłoni.
Gdybyś nie była taka sobie,
gdybyś nie była.
Może spostrzegłabymś mnie stojącą obok.
Złodziejko cudzych wyborów.
Nie, nie krzyczę.
Nie, nie płaczę.
Ale już jakby wolniej,
nigdy całej dłoni i serca całego.
Chryzantemy zakwitły
i liść opada.



Rys. Andrzej Kot

Małgorzata Smętówna

HYMN

Pobiegnę tam
gdzie tylko Polska i gwiazdy
Wśród snopów dojrzałej pszenicy
ślady stóp
pradziadów Oni tę Ziemię kochali
naprawdę
składam pokłon

Bogowie o dłoniach
czarnych i twardych
Bogowie prości i dumni
z sierpem i plugiem i wiara

Bogowie dla których Ziemia
największą świętością
Biję czołem przed wami

nie podam ci ręki
obie mam zajęte
mój los
jest tak ciężki
że nie utrzymam go
w jednej ręce

nawet przez chwilę

Wiesław Horabik

Samotność

Tego wieczoru były wypełnione
jakimś bieganiem, niepokojem
i pozostawianiem nas samych.
Pamiętam dom sąsiadów po
drugiej stronie ulicy, którego nie
lubilem. Od pewnego czasu zbiera-
li się w nim starsi, aby szepciem roz-
mawiać o nowym. Była tam dobudowa-
wana chłodna kuchnia w kształcie dłu-
giej kieszki, oświetlona samotną, gołą
żarówką upstrzoną gęsto przez muchy.
Nigdy nie czulem tam żadnego zapa-
chu, oprócz domowego piwa, ani ciepła,
swoistego rodzaju intymności, jak-
ką dają kuchenne szeptki. Nie mieszka-
ły tam też żadne dzieci.

Tego dnia po południu na naszej ulicy
napadnięto na ceglasty budynek
policji. Słyszeliśmy strzały, tupot nóg
po bruku i zawodzenie kobiet. A po-
tem ucihło, tylko młody chłopak po-
został z głową przy krawężniku, w
zielonej poszarpanej kurtce. A potem
przyjechało wojsko.

Ja już tego nie widziałem. Byłem
chory. Bolała mnie głowa, czulem su-
chość w ustach i wielką niemoc. Okry-
ty kołdrą i dwoma grubymi kocami,
patrzyłem, jak cienie kładły się na
ścianie od małego światła w rogu po-
koju. Czulem wielką ochotę, aby się
rozplakać, ale nie byłby to płacz pe-

len żalu lecz jakby zagubienia. Matka
pochylała głowę nade mną, a ja pa-
trzyłem na wielki cień na ścianie, po-
wolny i majestatyczny. I piłem słodką
herbatę z sokiem z malin. Jej dłonie
dotykały mojego czoła i czulem ulgę
od chłodu matczynych palców. Zawsze
lubilem patrzeć na jej ręce.

— Jutro przyjdzie do ciebie doktor
Gmoch — mówiła.

— Nie chciałbym, żeby to były za-
strzyki — powiedziałem, a ona uśmiech-
nęła się.

— Może obejdzie się bez zastrzyków
— stwierdziła — ale czas, żebyś prze-
stał się ich bać. Jesteś już bardzo du-
żym chłopcem.

— Mówisz tak zawsze wtedy, kiedy
chcesz coś ze mną zrobić.

Tym razem ukryła uśmiech odwró-
ceniem głowy.

Wieczorem zostałem z panią Zosią
— garbuską. Słyszałem, jak klekotały
garnki i coś szurało po podłodze. Pa-
ni Zosia czasami zaglądała do mnie,
a raz przyniosła mi ciepły kompot z
jabłek. Potem ucihła, a ja usnąłem
ciężkim, dławiącym snem. Obudziłem
się mokry, a pokój szalenie wypełnia-
ła ciemność. Dom był cichy, jak
gdybym pozostał w nim sam. Tylko
mała, czerwona lampka drgała niepew-
nym blaskiem w miejscu, gdzie wi-
siała święte obrazy. I wtedy wyraźnie,

jak nigdy przedtem, na wprost mego
wzroku zobaczyłem głowę Chrystusa.
Mogłem widzieć ją wyraźnie, oświe-
tloną własnym, niepojętym światłem.
Spod korony z cierni spływały na
władle policzki grube krople krwi. Je-
go ciemne oczy patrzyły na mnie z u-
porem i smutkiem, a wąskie usta wy-
krzywiały grymas, którego sensu nie
mogłem zrozumieć.

— Co się stało? — zapytałem.
A on odpowiedział mi moim włas-
nym, drżącym głosem:

— Tak będzie — powiedział. — Już
zostaniesz sam. Cokolwiek byś zrobił,
pozostanie właśnie tak. Nie musisz się
tego szczególnie bać. To nie jest cho-
roba, ale jak odzywające się wiecznie
pulsowanie nerwu. Tak właśnie bę-
dzie.

— Nie lubię specjalnie wielu ludzi —
powiedziałem.

Wilgotny dzień

STALIŚMY w lepkiem od wilgo-
ci ogrodzie. Duże kwiaty po-
chylały głowy pod uderzenia-
mi późnowiosennego wiatru, a
może podrygiwały jak w strachu. Od-
kryta, rozkopana ziemia pachniała
czymś słodkim, mięsistym i dobrze
znajomym. Od strony wąskiej, niebru-
kowanej uliczki pełnej drzew docho-
dziło pokrzykiwanie czarnych ptaków.
(Na tej uliczce Niemcy zabijali Ży-
dów.) Nie było już śniegu na ziemi
i tylko padały deszcze pełne chłodu
i bezradości. A jednak kwiaty roz-
rosły się mocno i było ich dużo. Sta-
liśmy przy drewnianym płocie, w sa-
mym rogu ogrodu, w miejscu gdzie

— Więc wszystko będzie dobrze.
A on wtedy uśmiechnął się, ale ten
uśmiech nie był już pełen ciepła, a
jak gdyby szyderstwa. Odsłoniły się w
nim jego białe, równe zęby, a mnie
przeszedł dreszcz.

I nagle w jego oczach zobaczyłem
jakby bezustanna pustkę, a mimo to
miała ona formę wielkiej łaki pełnej
cienia i wilgoci. Zarysy jakichś po-
staci klebiły się w rozproszeniu i gdzie-
kolwiek wejrzał, ta łaka nie miała koń-
ca. Wielka siła popychała mnie w jej
kierunku równie skutecznie, jak gdy-
bym czuł jej fizyczny dotyk na moich
plecach.

I wtedy zacząłem krzyczeć. I był w
tym strach przed widzeniem i nieocze-
kiwane, późne poczucie świętokradztwa
i przekorny, pierwszy, niepojęty znak
protestu.

wcinał się on ostrym klinem w Czarną
Drozkę. Michał wydal mi się obcy i
jakby pełen zagubienia, a ja byłem o-
szolomiony mnogością ludzi w naszym
domu, ich ustawicznym pochylaniem
się nade mną i dotknięciami bezoso-
bowych ust na moim policzku, i nie-
obecnością Marka, i panowaniem szep-
tu wszędzie tam, gdzie się pojawiłem.
Michał trzymał w dłoni grubą, brzo-
zowy patyk i uderzał nim w rozpulch-
niałą ziemię, zostawiając na niej ostre,
głębokie ślady.

— Gdybym miał taki sam kij — po-
wiedziałem — moglibyśmy rozegrać
walkę na szable.

Szukałam ust
szukałam popiołów czasu
idąc przed siebie
wróciłam do domu
z którego wyszłam
przyciłał mnie żywy człowiek
wspomnienie wczoraj
pewny powrót na dzisiaj
niemyślenie jutro
szepł całujący nasze twarze
dzisiejsza miłość
którą mogłam dotknąć

CZY WARTO?

zagubiona w kropli wody
szuka wyjścia

a w którą stronę

diabli wiedzą
ona zapomniała

GLUPOTKI WIECZORNE

tak być
gubić w tańcu
czy szczęścia
okryć obie twarze
wiatrem z włosów
szaleństwa

poszukajmy
gąszczu bżów

nie znajdę ciszy
mojej i twojej

potem wrócimy
normalni jak zawsze

— Dzisiaj wcale bym się z tobą nie bił — szepnął Michał. — Mój ojciec mówił, że umarła twoja matka. Może nawet dlatego tu przyszedłem.

Ulica przetoczyła się wolno samochód, dudniąc oponami na kocich łbach i usłyszeliśmy go dopiero, kiedy mijaliśmy nasz dom.

— Wiem — ja na to — przyjechały wszystkie ciotki. Ubrane na czarno zaczęły zjeżdżać się od wczoraj. I nie ma Marka.

Wtedy usłyszeliśmy, jak z domu wywołano moje imię.

— Już pójde — powiedział Michał i nagle poderwał się do biegu. Szybko przebiegł przez furtkę obok rozrosłego modrzewia i jeszcze chwilę mogłem słyszeć tupot jego stóp, kiedy biegł wąską ścieżką między nierozkwitłym jaśminem do siebie.

— Tylko to chciałem ci powiedzieć — wykrzyknął do mnie już niewidoczny.

— Co chciałeś mi powiedzieć? — zawałęm.

Nie było odpowiedzi.

Rozplakałem się w chybottwym blasku świt, zawodzeniu kobiet, grubym głose księdza i szuranu stóp po kamiennej posadzce. Matka leżała wysoko na katafalku, z którego zwieszala się czarna chorągiew z trupią czaszką pośrodku. Widziałem tylko spłaszczony zarys jej drobnej, nieruchomej twarzy i wyżej uniesione ręce, trzymające bezwładnie przekrzywiony krzyż. Wpatrywałem się w jej dłoń, uważnie i beznamyślnie. I dopiero na zewnątrz, na stopniach kościoła za pragnąłem nagle, by mnie dotknęła. I wtedy rozplakałem się głośno i głęboko pojąłem całą prawdę tego dnia. Ktoś podbiegł cicho do mnie, ujął mocno moje ramie i ruszyliśmy wolno w stronę cmentarza, a za nami ruszyli inni.

PIERWSZE zapowiedzi i informacje, jakie pojawiły się o mających się odbyć w Polsce Dniach Kultury Radzieckiej, wzbudziły znaczne zainteresowanie i nawet pewien entuzjazm. Nie piszę o tym po to jedynie, by zrobić konwencjonalny ukłon wobec imprezy. W owych zapowiedziach znalazły się bowiem informacje, między innymi, o teatrach MCHAT i „Bolszoj”. W dziedzinie muzyki zaś — nazwiska wiodących Natalij Gutman, skrzypka Olega Kogana, Moskiewski Kwartet im. Beethovena.

Rychło jednak okazało się, że te wybitne teatry i muzycy, co zupełnie zrozumiałe, nie wystąpią wszędzie, będą gościć nawet nie we wszystkich dużych ośrodkach kulturalnych. I nie można tu mówić o jakimś błędzie, popełnionym przy „reglamentowaniu” tych imprez. Jest to raczej sprawa natury techniczno-organizacyjnej. Wiadomo przecie, że nieliczne tylko miasta w Polsce posiadają sceny operowe, gdzie mógłby wystąpić teatr „Bolszoj” i równie nieliczne dysponują warunkami odpowiednimi dla zaprezentowania przedstawień MCHAT-u.

Niewielu więc polskich widzów miało możliwość zobaczenia tych teatrów. Na długo przed ich przybyciem tłoczono się przy kasach teatralnych, a potem były już tylko karteczki o treści: „biletów brak”. Latwo oczywiście zrozumieć te kolejki, objawiające chęć polskiej publiczności zobaczenia tak znaczącego teatru, o specyficznej metodzie i stylu teatralnej pracy, jakim jest MCHAT, istniejącego od kilkudziesięciu lat, wpisane w nurt najważniejszych zdarzeń w historii światowego teatru. Warto więc może przywołać choćby parę faktów z dziejów tej sceny.

Działalność MCHAT-u zainaugurowała premiera tragedii A. Tolstoja „Car Fiodor” 26 października 1898 roku, jego założycielami byli Konstanty Stanisławski i Włodzimierz Niemirowicz-Danczenko. Moskiewski Akademicki Teatr Artystyczny im. Gorkiego stworzył nowe zasady zespołowej pracy nad spektaklem, reżyserii i gry aktorskiej, oparte na formule realistycznego poszukiwania „prawdy życia”. Artyści MCHAT-u pragnęli zawsze wiązać swą sztukę z wielkimi wydarzeniami życia społecznego. Teatr pojmowali nie jako rozrywkę, lecz propozycję poważnego myślenia o życiu i świecie. Dążyli do pokazywania na scenie życiowej prawdy, penetracji psychiki bohaterów.

Znaczna rola w kształtowaniu oblicza Teatru Artystycznego przypadła również Maksymowi Gorkiemu i jego dramaturgii. Według określenia Stanisławskiego był on „głównym inicjatorem i twórcą linii społeczno-politycznej w teatrze”. W pierwszym okresie działalność teatru skupiała się wokół dramaturgii współczesnej, Czechowa, Gorkiego, Tolstoja, Ibsena. Zakierowanie tą dramaturgią skłaniało założycieli MCHAT-u do pracy nad badaniem praw twórczości scenicznej. W wyniku tych poszukiwań ukształtowało się nowe podejście do zawodu aktorskiego, które zyskało później nazwę „systemu Stanisławskiego”. System ten stał się metodologiczną podstawą warsztatu aktorskiego, reżyserii i pedagogiki teatralnej, nakreślił teatrowi kierunek pracy, a ten ukształtował w dużej mierze program dzisiejszego MCHAT-u, dla którego nadal są ważne słowa Stanisławskiego: „Teatr Artystyczny jest moją obywatelską służbą Rosji”.

Współczesny MCHAT ma być teatrem o pełnym brzmieniu ideowym, odtwarzającym na scenie życie ducha ludzkiego, wyczuwającym rytm swojej epoki. Ten kształt teatru od 1970 roku określa jego kierownik artystyczny i dyrektor, Oleg Jefriemow, aktor, reżyser, noszący najwyższe radzieckie uhonorowanie w dziedzinie sztuki, tytuł Ludowego Artysty ZSRR. Obecny repertuar MCHAT-u obejmuje dzieła Czechowa, Tolstoja, Gorkiego, Mollera, Williama, Aibee’go, Ostrowskiego, Rasputina, Szatrowa.

Polskiej publiczności moskiewski teatr zaprezentował dwa przedstawienia w reżyserii Jefriemowa: „Mewę”

Czechowa i sztukę współczesnego dramaturga radzieckiego Michaila Szatrowa „Tak zwyciężymy”. Akcja tego publicystycznego dramatu Szatrowa została usytuowana w roku 1923, a więc w epoce kształtowania się podstaw państwa radzieckiego. Sztuka podejmuje próbę syntetycznego spojrzenia na historię rewolucji, partii, historię państwa i losy tych, którzy ją tworzyli, konfrontując je z dzisiejszymi doświadczeniami historycznymi. Mówi o promieniowaniu idei leninowskich, o głębi zamierzeń i przewidywań Lenina, pokazując ich funkcjonowanie w praktyce budownictwa socjalistycznego, w świadomości ludzkiej. Jefriemow zbudował totalne widowisko operujące bogatą plastyką, tłumami statystów, możliwościami, jakie daje scena obrotowa, dzięki czemu powstały pełne ekspresji sceny — obrazy rewolucji.

Postać Lenina pokazuje ten spektakl nie tylko jako wodza rewolucji, ale przede wszystkim jako człowieka o dość wyalym zdrowiu, próbującego sprostać wielkim zadaniom, jakie niesie rodzący się nowy system społeczno-polityczny i nowe państwo. Widzącego jasno wszelkie ważne problemy swego czasu; problemy narodowościowe, rozwoju przemysłu, współpracy gospodarczej ze światem, sytuacji wsi rosyjskiej, rozumiejącego doskonale trudności nowego systemu — „pomiedzy nami i socjalizmem jest przepaść wynikająca z niedostatków cywilizacji i półazjatyckiej kultury”. To właśnie jedynie Lenin reprezentuje w partii stanowisko, że należy ujawnić wszelkie słabości nowego systemu i próbować go doskonalić, w tym widzi pewną jego siłę — „Nie zginiemy, bo nie boimy się swoich słabości”. Ale Lenin chce służyć nie tylko sprawie budowy komunizmu, dąży także, by komunizm służył narodowi, jest przekonany, że „trzeba gnać idee, kiedy tego wymagają interesy narodu”.

Przedstawienie pokazuje zatem postać Lenina w nieco innym wymiarze, niezupełnie tożsamą z jej obrazem tkwiącym w powszechnej świadomości. W roli Lenina wystąpił Ludowy Artysta RFSRR A. Kaliagin, pokazując wewnętrzną prawdę postaci. Trudno tu opisywać i omawiać wszystkie role przedstawienia, choć wiele z nich na to zasługuje. Trzeba więc powiedzieć chociaż najogólniej, że aktorzy MCHAT-u prezentują doskonałą sprawność w zakresie warsztatu aktorskiego. Nietrudno dostrzec w tym teatrze, jak od lat prowadzona praca, wedle stałej, określonej metody, decyduje o jego odrębnym obliczu i poziomie artystycznym.

Możliwość zobaczenia spektaklu MCHAT-u była dla mnie sprawą najbardziej interesującą w ramach Dni Kultury Radzieckiej, ale warto tu choćby krótko wspomnieć o kilku imprezach muzycznych, które można było oglądać w Lublinie. Na szczególną uwagę zasługuje doskonałe, żywiłowe widowisko muzyczne, jakie zaprezentował folklorystyczny białoruski Zespół Pieśni i Tańca „Choroszk”. Filharmonia Lubelska gościła Moskiewski Kwartet im. Beethovena, który swoim występem zainaugurował Dni Kultury Radzieckiej na Lubelszczyźnie. Również w Filharmonii urzekła publiczność lubelską Armeńska Orkiestra Kameralna pod dyktando Rubena Agaroniana, za najbardziej interesujący uznano występ skrzypcowy Agaroniana w koncertach Vivaldiego z cyklu „Pory roku”.

Niestety wydarzenia muzyczne i wrażenia, jakie niosą, nie bardzo właściwie poddają się zabiegowi przekładania na system znaków słownych. Nie dysponuję zresztą odpowiednim zasobem pojęć muzycznych i właściwą terminologią, by opisać koncerty radzieckich muzyków. Natomiast opowiadanie o tych zespołach, ich wysokiej randze artystycznej przy pomocy pustych brzmiających terminów: „pełna blasku wirtuozeria”, „kultura i wrażliwość muzyczna”, „uroda brzmienia”, jakie zwykle pojawiają się w opisach koncertów, byłoby rzeczą niewłaściwą, obniżającą jedynie miarę artystyczną tych wydarzeń.

L. W.

Kajet literacki

LITERATURA REGIONALNA

WPROZIE światowej znacząca, często wiodąca rolę odgrywa tak zwana literatura regionalna. W Stanach Zjednoczonych cała szkoła tworzą pisarzy wywodzący się z Północni. W literaturze radzieckiej wiele naprawdę wspaniałych powieści tematycznie wiąże się z Syberią. U nas też były próby wyłansowania tematyki Ziemi Odzyskanych, ale niestety wspomniano nie doczekaliśmy się, poza rewielowymi opowiadaniem Worcestera.

Faulkner, genialny ołewca południowego zaszczanka, słusznie zauważył, że styl jest rezultatem samotności. Stwierdził jeszcze przy okazji, że starał się zmieścić historię ludzkości w jednym zdaniu, bo poprzednio Tom Wolf usiłował to zrobić w jednej książce.

Wybitnym pisarzem tego kręgu jest Wil Linatow. Już dawne jego powieści z lat pięćdziesiątych zachwycały czytelników. Akcja najnowszego romanu „Istor Sawowitcz” toczy się w roku 1976 (Warszawa 1983).

Ta ciekawa, wybitnie demaskatorska książka ostro atakuje prowincjonalny establishment uniwersyteckiego miasta trzystutysięcznego. Publikę wszystkich miejscowych władz, kobiet, zwierzętów przypadkowo wpłataje się w bójkę uliczną i ciężko nokautuje chuligana, ucznia technikum. Wszyscy stają w obronie lokalnego pułku, ale on sam nagle zaczyna rozumieć, że jest tylko karłowatem, małym księciem bez żadnych kłopotów żyłowych. Ustosunkowani rodzice, ustosunkowani teściowie, cała potężna machina rodzinno-sądziecka pomaga mu żyć. Poza tym trzydziestoletni bohater ma aż dwóch tatuśków, cica i ojczyma — ma go więc kto bronić i wspierać.

Czy u nas taka powieść mogłaby powstać? Bo albo sam autor poszedłby za daleko i zaplatałby się w kompletną niezgodę, co zawsze jest niemadram przesada — albo też miałby kłopoty wydawnicze, zupełnie niepotrzebne kłopoty, jak na to wskazuje powieść Lipatowa oraz inne radzieckie powieści rozrachunkowe.

Wybitnym osiągnięciem tego typu literatury radzieckiej są też opowiadania Szukszyna. Przy lekturze wprost wdaje się, że znów przemówił do nas Czechow i przebaczył nam dwudziestowieczną grzeszki.

Wszystko to razem świadczy, że tak zwana literatura prowincjonalna nie musi być zaszczankowa i mało ważna. Ostatecznie akcja „Don Kichota” też nie rozgrywa się w salonach Madrytu, a Odyś wędruje po zakazanych peryferiach świata greckiego, gdzie diabeł mówił dobrane, a odpowiadały mu różne wróżki i wiedźmy.

W naszej literaturze najnowszej namalaska tego kierunku jest tak zwany nurt wielki w prozie, ale to już całkiem inna historia.

Janusz Olczak

Przed 50 laty

POGRZEB

13 maja 1935 roku ukazał się w prasie komunikat Polskiej Agencji Telegraficznej. Komunikat miał treść następującą:

Marszałek Polski Józef Piłsudski zmarł dnia 12 maja o godz. 20 min. 45 w pałacu belwederkim w Warszawie. Ostatniego namaszczenia Olejami Świętymi udzielił ks. Władysław Kornilowicz. Cierpienie marszałka Piłsudskiego rozwijało się od kilku miesięcy. Wezwany z Wiednia profesor Wenckebach oraz dr Antoni Stefanowski rozpoznali raka żołądka i wątroby. Stała opiekę lekarską wykonywali pod kierownictwem gen. dr. Stanisława Roupperta ppłk dr Stefan Mozolowski, mjr dr Henryk Ciaciaryz i mjr dr Felicjan Tukanowicz. Gwałtowne pogorszenie nastąpiło w dniu 11 maja w postaci silnego krwotoku żołądkowego, który spowodował osłabienie serca, a następnie zgon.

Prezydent Ignacy Mościcki pisał natomiast w Ośrodku:

Ten największy na przestrzeni całej naszej historii człowiek z głębi dziejów minionych moc swego ducha czerpał, a nadludzkim wyężeniem myśli drogi przyszłe odgadrywał. Nie siebie też tam widział, bo dawno odczuwał, że siły jego fizyczne ostatnie posunięcia znaczą. Szukał i do samodzielnej pracy zaprawiał ludzi, na których ciężar odpowiedzialności z kolei miałby spoczywać.

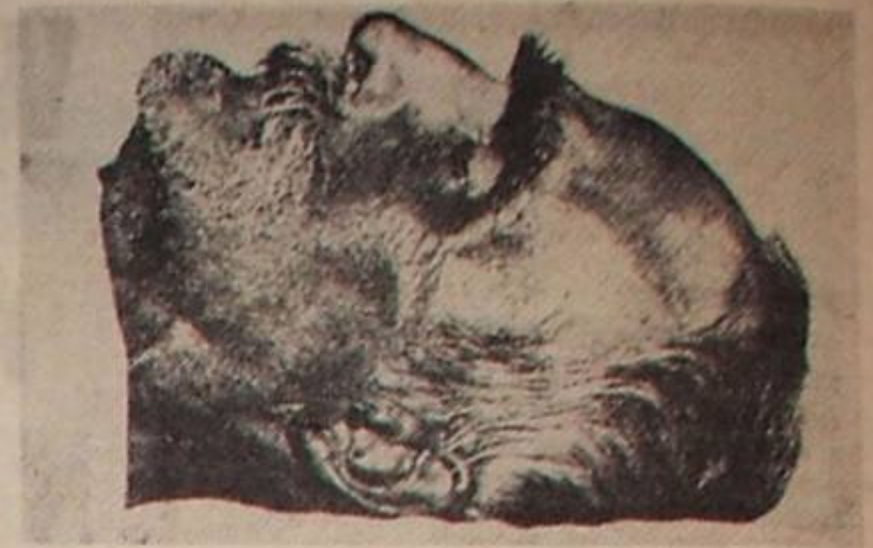
Komentując te słowa Andrzej Garlicki stwierdza w „Polityce” (nr 16 z 20 kwietnia br.): Warto ten zacytowany fragment uważnie przeczytać. Zawiera on bowiem propagandową wykładnię obozu rządzącego na najbliższe lata. Odszedł Wódz, ale pozostali ci, których wybrał i przygotował do kiero-

wania nową państwową, oni, i tylko oni, kontynuować mogą to wielkie dzieło. Ta właśnie formuła legitymowała dalsze sprawowanie władzy. Skupiać się ona miała wokół prezydenta, któremu obowiązująca od kilku tygodni nowa konstytucja dawała olbrzymie uprawnienia. A Ignacy Mościcki miał jeszcze przed sobą pięć lat do upływu kadencji. Mógł oczywiście wcześniej złożyć dymisję, a nowa ustawa konstytucyjna i śmierć Piłsudskiego stanowiły wystarczający powód, ale — wbrew oczekiwaniom grupy kierowniczej obozu rządzącego — nie zamierzał tego uczynić. Przeciwnie, zamierzał wreszcie skorzystać z przysługujących mu uprawnień.

I korzystał. Do września 1939 roku, 17 września przekroczył granicę rumuńską, a 29 września przekazał władzę prezydencką W. Raczkiewiczowi. Zmarł w Szwajcarii w 1946 roku, jedenaste lat po Piłsudskim...

W pięćdziesięciolecie śmierci Józefa Piłsudskiego Państwowy Instytut Wydawniczy publikuje dwutomowy wybór pism Marszałka. Dobrze, że się na to zdecydowano właśnie dzisiaj, kiedy — jak pisze Michał Misiorny w 18—19 n-rze „Zycia Literackiego” z 5—12 maja — przygotowuje się tu i ówdzie w kręgach „niezależnych intelektualnie” rodzaj procesu kanonizacyjnego, w którym J. P. podreżyserowany zostanie do godności ojca duchowego prawdziwej polskości i zarazem wszelkiej maści dzisiejszej opozycji...

Ow „ojciec duchowy” oznajmiał przedstawicielom niektórych klubów poselskich po dokonaniu przez siebie przewrocie majowym w 1926 r., w którym w trzech dniach bratobójczych walk zginęło 379 osób, a rany odniosło ponad 900 (i nikt im nigdy pomników nie stawiał): Nie będę się wdawał w dyskusję nad wypadkami majowymi. Zdecydowałem się na nie sam, w zgodzie z własnym sumieniem i nie widzę potrzeby z tego się tłumaczyć. (...) Rozwielmożniło się w Polsce znikczemnienie ludzi. Swobody demokratyczne zostały nadużyte, tak że można było zniechęcić całą demokrację. Dalej Piłsudski mówił do posłów: Warunki tak się ułożyły, że mogłem nie dopuścić was do sali Zgromadzenia Narodowego, kpiąc z was wszystkich, ale czynię próbę, czy można jeszcze rządzić w Polsce bez bata. Nie chcę czynić nacisku, ale ostrzegam, że sejm i senat są instytucjami najbardziej zniechęconymi w społeczeństwie.



Pośmiertne zdjęcie Józefa Piłsudskiego

Piłsudski nazywał sejm „cloaca maxima”. Od takich określeń prosta była już droga do procesu brzeskiego, gdzie przed sądem stanęli posłowie opozycji, i do Berezki Kartuskiej — sanacyjnego obozu koncentracyjnego...

A jednak tenże sam Piłsudski, choć nieco młodsz, zauważał w 1917 r. (w wywiadzie dla „Tygodnika Ilustrowanego”):

Przewiduję w państwowym życiu Polski wielkie trudności do zwalczenia. Poważnymi przeszkodami w budowie państwa polskiego będzie: nasza abnegacja państwowa i nasza apaspaństwowa kultura [...]. Parę pokoleń musi minąć, zanim stworzy się państwowa kultura polska. Pokolenie dzisiejsze, które zostało powołane do rozstrzygnięcia zawitych zagadnień współczesnych, nie dorosło do zadań swoich...

W jednym — pisze Michał Misiorny — go przecie rozumiem i zgadzam się z nim: gdy uzasadniał [...] że droga do wielkości wiedzy, przez silne państwo i przez upartą pracę i wyrzeczenia.

Pogrzeb Józefa Piłsudskiego trwał sześć dni: zaczął się w Warszawie, a skończył w Krakowie. Pochowano go na Wawelu, chociaż niektórzy dostojnicy kościelni mocno się temu sprzeciwiali. Zdjęcia, które przypominamy, pochodzą ze specjalnego albumu pamiątkowego. Hitlerowską Rzeszę reprezentował na pogrzebie Goering, a Francję — Laval i Petain... To też wymowne!



Na polu Mokotowskim w Warszawie stanęła żałobna laweta...



Grupa generalów polskich w żałobnym orszaku. Wśród nich — gen. Żeligowski, Rómmel, Stawoj-Składkowski...

Francję na pogrzebie reprezentowali: minister Laval i marszałek Petain. (Obaj po najeździe Niemiec hitlerowskich odegrali niestawną rolę w dziejach swego kraju...)

Reprodukcja. Fot. Arkadiusz Karoń



Wśród przedstawicieli państw obcych idą Goering (pierwszy z lewej), obok niego ambasador Niemiec w Polsce, Moltke.



Stary towarzyski członek

Z Zofią Teresą po dwudziestu latach...

— Dzień dobry, poznaje mnie pan? — Nie, nie bardzo... — Pewnie. Ostatni raz widzieliśmy się blisko dwadzieścia lat temu. W domu pani rodziców, przy ul. Kunickiego. Była pani wówczas dwudziestoletnią dziewczyną, studentką drugiego roku chemii na UMCS, a ja... — Wiem, już Pan jest tym młodym dziennikarzem z „Kamieni”, który poszukiwał osób urodzonych w dniu zakończenia wojny, 9 maja 1945 r. I między innymi „odnalazł” pan także mnie. Ale... trochę się pan zmienił od tamtego czasu.

— Bo ja, proszę pani, jestem już, niestety, byłym „młodym dziennikarzem”. Chociaż w „Kamieniu” pracuję nadal.

— No tak, a ja mam dwójkę dorastających dzieci, Dorota kończy właśnie szesnaste lat, jest w I klasie liceum u „Zamoyskiego”, a Marcin, jedenaścioletni, chodzi do czwartej klasy podstawówki. Ale jak pan mnie po dwudziestu latach tutaj, na ul. Romera, w Osiedlu Nałkowskich, odnalazł? Przecież tamten stary dom przy Kunickiego dawno już nie istnieje, a ja noszę inne nazwisko niż dawne, panienskie.

— O, to tajemnica zawodowa. Zresztą powiem pani: po prostu za pośrednictwem biura adresowego. Teraz poszło to o wiele łatwiej, niż przed dwadzieścia laty. Wtedy szukałem zupełnie „w ciemno”. Nie miałem ani żadnych nazwisk. Ani nawet pewności, czy w ogóle 9 maja 1945 r. urodziło się w Lublinie jakieś dziecko. Okazało się, że urodziło się pięcioro: Ewa Cislowska — córka urzędnika, Grzegorz Sadowski — syn brukarza z lubelskiego przedmieścia, Danuta Trejgiell — córka właściciela piekarni, Józefa Chorembala — córka walczącego na froncie, nad Nysą, malarza pokojowego z dzielnicy Kalinowszczyzna, Józefa Chorembala. No i Zofia Teresa Konofalska, córka Bian-dyny i Teodora, właścicieli sklepu nabiałowego przy ul. Kunickiego 68, czyli właśnie pani... Z tej całej piątki udało mi się wówczas, w 1965 r., dotrzeć tylko do dwóch, dwudziestoletnich już dziewcząt: Józefy Chorembalowej oraz pani — studentki chemii, marzącej o wyjeździe, po skończeniu studiów, z Lublina, „gdzieś na prowincję”. „Może być do Puław — zwierzała mi się pani wtedy. — Ale tam nielato się dostać chemikom po studiach uniwersyteckich. Potrzebują raczej inżynierów chemicznych. Chociaż podobno puławskie „Azoty” mają objąć patronat nad Wydziałem Chemii UMCS, może w związku z tym po zrobieniu odpowiedniej specjalizacji łatwiej będzie o pracę. Ale właściwie najlepiej byłoby pracować w szkolnictwie. Jako nauczyciel-

ka chemii. A mąż mógłby w produkcji...”

„Mąż?” — zapytałem trochę zdziwiony.

„No, w przyszłości. Ewentualny” — wyjaśniła pani, śmiejąc się...

I co, została pani nauczycielką chemii?

— Ach, nie, nie...! Z tamtych dawnych, młodzieżowych planów, „doszedł do skutku” jedynie: mąż — chemik, czyli Stanisław Matyka, specjalista „żywnościowiec”. Był moim starszym kolegą ze studiów; w dwa lata po tamtej rozmowie pobraliśmy się ze Staszkiem. Mąż zrobił doktorat na Akademii Rolniczej, a ostatnio habilitował się. Pracuje w Centralnym Laboratorium Przemysłu Paszowego przy ul. Chmielnej. O, tutaj jest jego książka, wydana w 1981 r.: „Użyteczność pastewna niektórych zjełczałych tłuszczów zwierzęcych dla kurecząt brojlerów”...

— A co pani robi?

— Pracuję od lat... w budownictwie. Jestem kierownikiem laboratorium materiałowego w Biurze Projektowo-Budawczym Budownictwa Ogólnego „Miastoprojekt”. Nasze laboratorium mieści się przy ul. Bohaterów ORMO, pracuje w nim szesnastu osób. Tak więc osiedliliśmy się, oboje z mężem, na dobre w Lublinie...

Wie pan, jestem zadowolona, że zostałam w Lublinie. Puławy były kiedyś wielką atrakcją dla mojego pokolenia, ale w praktyce okazało się, że aż nie tak wielką. Niektórzy koledzy ze studiów, jacy tam podjęli pracę, zaczęli po latach wracać do Lublina. I zarobki nie były takie bajeczne, jak się spodziewali i powietrze Puław zaczęło coraz bardziej odbijać się na ich zdrowiu.

— A państwo mieszkacie w bloku, którego okna wychodzą na Bystrzycę i przyległa do niej zieleń, niedaleko jest do Zalewu Zemborzyskiego; teraz, kiedy rozmawiamy, nad rysującym się w oddali Starym Lasem zachodzi pięknie słońce...

— Tak, ale w tej dzielnicy mieszkamy dopiero od siedmiu lat. A w ogóle to cała historia z tymi naszymi mieszkaniem... Wkrótce po tym, jak pan nas w 1965 r. odwiedził, przenieśliśmy się na Tatary, gdzie dostaliśmy małe dwupokojowe mieszkanie. Ten dom przy Kunickiego został przeznaczony do rozbioru. Jak wtedy rozmawialiśmy, to mój ojciec był już poważnie chory, na raka, i w rok później umarł. Na Tatarach mieszkaliśmy z „babcią” i z moim mężem i tam się też urodziła Dorota... W 1969 r., wkrótce po urodzeniu Doroty, spoiłała nas następna wielka radość: otrzymaliśmy pierwsze, samodzielne mieszkanie, M-3, w Spół-

dzielni Kolejarskiej na Kalinowszczyźnie. Tam, na ul. Okrzei, przenieśliśmy się siedem lat, i tam, w 1974 r., w maju — bo my wszyscy jesteśmy „majowi”: i ja, i moja córka, i syn — urodził się Marcin. Nie było to wygodne mieszkanie, ciasne, jakiś dziwny rozkład: z głównego pokoju wchodziło się do kuchni.

— A teraz?

— Teraz, jak pan widzi: sześćdziesiąt metrów kwadratowych, cztery pokoje, kuchnia z normalnym wejściem — z przedpokoju, pierwsze piętro.

— A co się dzieje z pani matką? Żyje jeszcze? Bo pamiętam, że kiedy się pani urodziła, rodzice byli już niemłodzi. I jeszcze: przypominam sobie taki moment, jak pani matka opowiadała, że urodziła się pani trochę „na rozkaz”: przed południem 9 maja była w sklepie, jak zwykle, i o jedenastej wszedł do sklepu milicjant, oznajmił, że właśnie wojna się skończyła, więc jest święto i sklep należy zamknąć. I pani matka poczuła wtedy bóle i... w dwie godziny później pani już była na świecie.

— Zapamiętał to pan? No, proszę...! Tak, mama żyje, mieszka nadal na Tatarach. Jest już staruszką, dużo ostatnio chorowała. Na serce. Ale trzyma się dobrze.

— Pani Zosiu, wracając do czasów dzisiejszych: na czym polega działalność laboratorium, którym pani kieruje; co takiego robi chemik w budownictwie?

— No, nie pracuję w tym laboratorium sami tylko chemicy! Mamy pracownię chemiczną, ale także pracownię wytrzymałościową, pracownię spoiw i ceramiki oraz pracownię gruntów. Ogólnie rzecz biorąc, nasze laboratorium to placówka, która zajmuje się badaniami przydatności różnych materiałów wykorzystywanych w budownictwie. Ustalamy, na przykład, receptury na różne klasy betonów, przeprowadzamy badania cegły budowlanej, ruręk drenażowych, prowadzimy badania sklerometryczne, to znaczy wytrzymałościowe, elementów budowlanych. Zajmujemy się również badaniami i ustalaniem fizyko-mechanicznych właściwości gruntów. Głównymi naszymi kontrahentami są „Geoprojekt” i Biuro Projektowe PKP. Jest to, nawiasem mówiąc, jedyne w mieście, i chyba w regionie, tego rodzaju laboratorium, które prowadzi działalność nie tylko dla potrzeb własnego przedsiębiorstwa, ale także świadczy usługi „na zewnątrz”, również dla osób i przedsiębiorstw prywatnych.

— To znaczy...?

— Na przykład: jeżeli ktoś chce stworzyć wytwórnię cegieł lub wytwórnię pustaków, prowadzimy badania

gliny mającej służyć do wyrobu cegieł, badania żużla na pastaki, a później badamy także gotowy już produkt o poszczególną jakość wytwórni: czy nadaje się on do eksploatacji. I jeszcze jedna dziedzina pracy: ekspertyzy mykologiczne. Po studiach chemicznych zrobiłam na specjalnych studiach podyplomowych w Instytucie Techniki Budowlanej w Warszawie specjalizację mykologiczną: wszelkiego rodzaju grzyby i pleśnie atakujące materiały budowlane i gotowe już budynki, oraz ich zwalczanie...

— „Kiedy grzyb „rzuci się” na ścianę?”

— Właśnie kilka dni temu wyjeżdżałam na ekspertyzę do Hrubieszowa: oglądałam zagrzybione, jeszcze przedwojenne, kamieniczki. W strasznych warunkach ludzie mieszkają! Ściany w tych domach są z cegły, stropy — drewniane, ale grzyb przeżera i kamień, i drewno. Drewno w stropach zostało starte przez grzyb na proszek. Odgrzybianie, a potem remont pochłonęły ogromne sumy...

— A z jakimi problemami przechodzi do was lubelscy użytkownicy budynków?

— Na przykład jest problem „lentek”, czyli wykładzin podłogowej, w osiedlu spółdzielczym na Czechowie. W wielu budynkach lenteks gnije od spodu. To znaczy gnije jego spódnia, warstwa lokowa warstwa. Zaczęło więc zrywać się i kłaść na jego miejsce klepek lub „mozaikę” drewnianą. Wtedy nowu podłogi zaczęły „puchnąć”. Powstał problem, który przedstawiono nam do rozwiązania: czy kleje podłogowe tam używane są niedobre, czy sama klepka, czy też — cementowe podłoża podłogowe — za mokre? Otóż najczęściej mamy tutaj „winę” podłoża: płyta betonowa, na której układa się „na klej” podłogę ze sztucznego tworzywa bądź drewnianą, może posiadać tylko 3 proc. zawilgocenia. Często nawet jeszcze po miesiącu od jej zamontowania płyta taka jest za mokra. A mimo to ekipy budowlane przystępują do układania podłóg. Nawiasem mówiąc, problem gnicia lenteksu, mimo nasycenia wojłoku specjalnymi preparatami mającymi czynić go odpornym na bakterie gnilne, ma zasięg krajowy. Właściwie już teraz, po smutnych doświadczeniach (wyobraża sobie pan, jakie sumy pochłania zrywanie starych i układanie nowych podłóg!), zaprzestano układania lenteksu w nowo wznoszonych budynkach mieszkalnych.

— A w pani mieszkaniu jakie są podłogi?

— Z lenteksu, niestety. Ale, na szczęście, u nas jakoś nie ma z nim kłopotów... Zresztą nie rozmawiamy tylko o pracy i problemach zawodowych: spełnijmy lepiej toast za to nieoczekiwane dla mnie spotkanie po latach dwudziestu. I niech teraz pan opowie o sobie. Co pan robił przez tych dwadzieścia minionych lat!

— Ba, o sobie dziennikarstwo opowiadać najtrudniej. Pisałem, założylem rodzinę, trochę jeździłem po świecie, trochę poznałem ludzi, wydałem kilka książek...

— Aaa, ten pan, fotoreporter, który robił mi wtedy zdjęcie do pańskiego reportażu, na ile nowo wybudowanej „Chatki Zaka” w Miasteczku Studenckim...?

— Andrzej Polakowski? Jest moim kolegą, pracuje w budownictwie. Nie i dalej robi zdjęcia. Zrobi teraz i pani. A „Chatka Zaka” stoi jak stała. Tylko w tym miejscu, gdzie pani pozowała do zdjęcia, drzewa wyrosły. Takie wielkie wierzyby, które sięgają już ponad dach budynku!

Rozmawiał: Mirosław Derecki

POLEMIKI

„Chelmska zadyma”

ARTYKUŁ „Chelmska zadyma”, jak wynika z pisma skierowanego do „Kamieni” (nr 7 z br.), wyszedł z rąk dyrektora Wydziału Ochrony Środowiska, Gospodarki Wodnej i Geologii UW w Chelmie tak, że zwołał naradę pracowników wydziału, podkreślił swoją obywatelską troskę, a następnie wyraził swój pogląd i stanowisko. Najbardziej ubodło pana dyrektora, że porównałem polskie normy w zakresie dopuszczalnych stężeń SO₂ w powietrzu atmosferycznym z normami amerykańskimi! Rzeczywiście, teraz zrozumiałem, że to bezcelność z mojej strony, więc przynajmniej ze skrucha, iż w USA Bija Murzynów!

Nie twierdziłem, że nie można budować wojewódzkich programów ochrony środowiska opartych na polskich normach. Wręcz przeciwnie. Martwi mnie tylko, że jest

już coś zbudujemy w oparciu o te normy, reszta świata wyprzedzi nas w tzw. międzyczasie o długość konia. Przykre jest to elagie domaganie.

Na szczęście, jak twierdził autorytatywnie mgr inż. M. Tarnas, pomiary stężeń SO₂ na terenie cementowni i w strefach ochronnych nie wykazały żadnych przekroczeń, a...były wręcz kilkakrotnie niższe od dopuszczalnych norm! Ciekawe, gdzie zlokalizowano punkty kontrolne i jakiej użyto aparatury pomiarowej, bo np. nos pracownika cementowni jeszcze zbyt często rejestruje ostrą zapach zgnitych jajek... Zresztą skąd dyrektor wydziału UW może wiedzieć, co psuje się w cementowni, kierując na dodatek zgnitymi jajkami??!

Mgr inż. M. Tarnas zarzuca mi brak rzetelności dziennikarskiej i cytując dane GUS w zakresie ochrony środowiska, sorowadza mnie zupełnie do barteru! Gdybym chciał podnieść jeszcze głowę — przygwałdzę cytatem: „...rozwiązanie odpylanta w cementowniach i w dalszej kolejności surowe rygory eksploatacyjne praktycznie powinny wyeliminować problem nadmiernej zapylenia”.

Kiedy słysze o rygorach eksploatacyjnych w kombinacie, który płaci dziesiątki milionów złotych kar w skali roku za zanieczyszczenie powietrza atmosferycznego, tylko fakt, że i ja wdechałem to wzniewy codziennie, powstrzymuje mnie od śmiechu!

Przypomnę, że we wrześniu 1982 roku z nastawieniem „Wojewoda Chelmski” ujrzał światło dzienne „Znowelizowany program ochrony środowiska woj. chelmskiego na lata 1983-1990”. Materiały tam zamieszczone opracowali ludzie z Wydziału Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska — być może znani dyrektorowi M. Tarnasowi.

wi! Na stronie 2 (26 wiersz od góry) czytamy: „Globalna emisja zanieczyszczeń w skali województwa (z wyjątkiem komunikacji samochodowej) szacowana jest na około 75 tys. tony rocznie zanieczyszczeń pyłowych i 15 tys. ton SO₂ w roku”.

Zauważony danymi GUS, dyrektor M. Tarnas zanegował te liczby i zarzucił mi kłamstwo, a ja cytowałem tylko jego dokument! Być może spoza tej masy pyłów w powietrzu nad najmniejszym województwem prawda jest lakby mniej widoczna, albo dostrzeżona jest tylko jej najbardziej szkodliwy wariant?! A przecież w zniewolony program na stronie 3 jest zalecenie, że „...należy dążyć do poprawy stanu powietrza (niejednokrotnie) będącego na granicy norm dopuszczalnych na terenie całego województwa”. Mówi się o przekroczeniu normatywnego stężenia pyłów wokół Cementowni „Pekół” w Rejowcu o około 250 procent... Jakże to pomy tekst od dyrektorskiego „gdybania” na temat ochrony środowiska!

I jeszcze ten nieszczerzy, ojcowski ton we wstępie pisma skierowanego do „Kamieni”. Mnie on nie zwiodł, bo celów naukowych sukcesów osiągnęliśmy na szczęście znacznie mniej niż ludzi rozsądnych!

Być może Wojewoda Chelmski znajduje wiele przyjemności w trakcie lektury opracowań „ochronarskich” dyrektora M. Tarnasa — mnie one jednak rozczarowały!

Zdzisław P. Karpiński

Rybożony i diugonie

Barbara Hill

„bestya miała siedem głów i rogów dziesięć, na rogach jej było dziesięć koron, a na głowach ich bluźnierstwa. A bestya podobna była rysiovi, a nogi jej jako niedźwiedzie, a gęba jako gęba lwa... Taki oto opis morskiego potwora możemy znaleźć w Nowym Testamencie.

A kim właściwie jest potwór, „bohater” wielu fantastycznych opowieści? Według współczesnych definicji, to osobnik anormalny w zestawieniu ze swoim gatunkiem. Może być obdarzony niezwykle wysokim wzrostem, dziwnymi kształtami oraz niespotykanym okrucieństwem. Gdyby pojawił się stwór mający głowę szczura, tułów rekina i ogon krokodyla, nazwano by go potworem, dopóki stanowiłby pojedynczy egzemplarz.

Od najdawniejszych czasów ludzie żyjący nad małymi zbiornikami wodnymi obawiali się, że woda zniknie i zostanie tylko ziemia. Ludzie mieszkający nad morzem lub oceanem żyli w obawie przed sytuacją odwrotną — że woda połknie ziemię. Dlatego też morza i oazy były przedmiotem kultu. Oddawano cześć wodzie i zaczęto ją personifikować. Wierzono, że w jej głębinach przebywa istota nadprzyrodzona, której łaskawość zależy od składanych przez ludzi ofiar. Często ta istota przybierała kształt potwora morskiego.

W starożytności czyhały na marynarzy potwory-ludzie i potwory-bóstwa. Oto Scylla, obok Charybdy, postrach mórz, przed którymi przestrzegała Odysusza Kirke. Scylla miała dwanaście niekształtnych nóg, sześć szkaradnych szyl z sześcioma równie szkaradnymi głowami, a każda z jej szcęk uzbrojona była w trzy rzędy zębów. Kirke ostrzegała też Odysa przed syrenami, których śpiew tak oczarowuje marynarzy, że „na wybrzeżu pełno jest kości tych, co słuchali ich głosu, pełno butwiejących skór”.

Rodowód syren jest niejasny. Jedni twierdzili, że są córkami bóstwa rzecznego Acheloosa i muzy Melpomeny — inni, że matka ich jest kobieta śmiertelna. „Na pewno” były one nimfami towarzyszącymi bogini Korze. Gdy Hades porwał Korę do królestwa cieni, Demeter, matka bogini, dała im skrzydła, aby ratowały jej córkę. Gdy skrzydlate nimfy znalazły się w krainie zmarłych, zostały pomocnicami Hadesa. Zaczęły więc uwodzić swym śpiewem marynarzy, którzy zaszuchani zapominali o sterach i okręty ich roztrzaskiwały się o skały. Syreny przedstawiano wówczas jako pół kobiety, pół ptaki. Dopiero w późniejszych wiekach stały się kobietami-rybami. W średniowieczu straciły swój boski status i nazywano je rybożonami, dziwożonami, a także obok trytonów — „morskimi ludźmi”. W ówczesnych opisach

stawały się coraz dziwniejsze, miały np. zwierzęce uszy czy „nogopletwy”.

Najwięcej opisów prawdziwych i nieprawdziwych zwierząt zawierały średniowieczne Bestiariusze, czyli Zwierzyńce. Wśród przedstawicieli fauny i fantastyki poczesne miejsce zajmowały syreny. Posądzano je o uwożenie i zabijanie ludzi. Stały się symbolem grzesznych pokus świata, kryjących w sobie zło i upadek... Zauważymy jednak do bardziej wiarygodnych źródeł. Oto fragment dziennika podróży Krzysztofa Kolumba. Pod datą 9 stycznia 1493 r. admirał zanotował, że gdy płynęli w stronę Río del Oro, zobaczył „trzy syreny dość wysoko unoszące się ponad falami, nie były jednak tak piękne, jak je opisują. Jedynie ich twarz jest nieco podobna do ludzkiej”.

Wyobrażenia marynarzy działała jednak silniej niż spostrzegawczość, tak więc w średniowieczu i później najpopularniejsze były opowieści o pięknych morskich pannach, które chętnie bawiły się z marynarzami, a gdy rzucano im linę, wchodziły na pokład. Wiara w syreny nie była zresztą domeną ludzi prostych. XVI-wieczny angielski admirał Sebastian Caboto, naczelny dowódca floty królewskiej, jest autorem przepisów nakazujących marynarzom „wystrzegać się syren, które żywią się ciałem ludzkim”.

Wiarę w syreny podtrzymywali też prorożni kombinatorzy, którzy na odpustach i jarmarkach pokazywali upośledzone karliczki z przyprawionymi rybimi ogonami. Nawet wśród eksponatów w niektórych muzeach można było znaleźć taką „kobietę-rybę”. Latem 1753 r. w Paryżu na rynku poka-



Syrena indyjska

zywano „kobietę morską, którą w naczyniu napełnionym wodą trzymano. Miała dwie stopy wzrostu, poglądała z ciekawością i żywym wzruszeniem na mężczyzn. Skórę miała w dotykaniu grubą, głowę gołą, prócz tyłu ku karkowi, gdzie na kształt łuski była

pokryta, uszy długie i szerokie, twarz nadto szpetna, ręka prawa źle ukształtowana, pierś szerokie i okrągłe. Część dolna kończyła się na rybim ogonie, łuską pokrytym...”

Opowieści o syrenach zawierały często ostrzeżenia, aby nie słuchać ich głosu, gdyż są one bardzo kochliwe i swym zwodniczym śpiewem kuszą marynarzy, a potem zabierają ich do swego podwodnego królestwa. Odyseusz, aby nie ulec głosowi morskich pannie, kazał przywiązać się do masztu, a załogę swego okrętu zalepił uszy woskiem. Średniowieczni marynarze odkryli jednak inny sposób — podobno wystarczy wrzucić do morza pustą butelkę. Zaciekawiona syrena zainteresuje się nią i zapomni o śpiewie...

Męskim odpowiednikiem syren były trytony. Tryton, syn Posejdon i Amfitryty, był pierwotnie symbolem księżycy w nowiu. Jako bóstwo morskie, miał postać pół człowieka, pół ryby. W czasach późniejszych nazywano go też Panem lub Satyrem morskim. „Nacoczni” świadkowie tak opisywali wygląd trytonów: „...na głowie mają włos koloru morskiej wody takie, że nie można jednego od drugiego oddzielić. Korpus błyszczący od łusek. Pod uszami mają skrzela, nos jak człowiek, szerokie usta i zęby jak dzikie zwierzę. Paznokcie podobne do muszli, pod brzuchem zamiast nóg jest ogon”. Kronika holenderska z 1609 r. podaje, że „na okręt wskoczył człowiek morski. Mówił on dobrze po holendersku i poprosił o fajkę tytoniu, którą mu podano. Wiele wiadomości o świecie podwodnym spodziewano się od jego mieszkańca, alifci on wypaliwszy fajkę i podziękowawszy za nią, skoczył na powrót do morza i zniknął. Ręce tego zjawiska do płetw rybich były podobne”.

Pierwowzorem legendarnych syren i trytonów są mało znane, występujące na trudno dostępnych terenach manaty z Morza Karaibskiego i diugonie z Oceanu Indyjskiego. Zwierzęta te stanowią jedyną pozostałość rządu syren, dalekich krewnych słonia. Ich „twarze” przypominają nieco twarz ludzką. Odżywiają się stojąc w wodzie, w pozycji pionowej, z płetwiastymi kończynami wyciągniętymi do przodu jak ręce. Niekiedy samice trzymają w tych „rękach” małe, przez co jeszcze bardziej upodobniają się do ludzi.

Bardziej podobne do ludzi są diugonie. Najprawdopodobniej to one stały się pierwowzorem opowieści marynarzy i zoologów średniowiecznych o syrenach, gdyż prawie wszystkie legendy o „morskich pannach” pochodzą z okolic obfitujących w te ssaki. Mają one białe, prawie bezwłose ciała, a piersi ich samice są podobnie osadzone jak piersi kobiety. Diugon jest samotnikiem, żyje na otwartym oceanie

i rzadko udaje się go schwycić. Wywołuje on zabobonny lęk wśród rybaków.

Kiedyś w Mozambiku udało się złowić rybakom, jak to określili, „białą swinie morską”; przerażeni połowem oddali swą zdobycz kowalowi. Sprytny kowal był jak zabalsamował diugonia, wsadził do trumny i przetransportował do Johannesburga. Tam wynajął salę i zrobił wielki majątek, pokazując „jedyną na świecie prawdziwą syrenę, pół kobietę, pół rybę”.

Diugonie są najlepiej znane rybakom z Madagaskaru, którzy wysoko cenią ich mięso, a jednocześnie obdarzają ludzkimi cechami, uważają za pokrewne ludziom. Po schwytaniu tego zwierzęcia rybak odprawia religijne obrzędy, a przed sprzedażem mięsa składa przysięgę, że między nim a syreną nie doszło do zdróżnych kontaktów. Schwytane do niewoli zwierzęta ronia ły, podobnie jak słoń. Diugon, trzymany przez kilka miesięcy w ZOO w Colombo na Cejlonie, przez cały czas szlochął. Malgascy rybacy często je torturują i zbierają ich ły, aby potem „produkować” napój miłosny.

Drugim, wspomnianym już wcześniej, ginącym przedstawicielem rządu syren jest manat. Mimo że nigdy nie uważano manata za istotę ludzką, jest



Potwory Apokalipsy. Rysunek Nicolasa Bataille'a z końca XIV w.

on przedmiotem wielu zabobonów. Nigeryjczycy traktują go jak święte zwierzę. Jeśli rybak zabije manata, musi przejść przez bardzo skomplikowane rytuały oczyszczające. Składa ofiary przed podobiznami przodków i pozostaje w odosobnieniu przez trzy dni. W ciągu tych dni kobiety z jego rodziny nacierają go od stóp do głowy złotym barwnikiem i śpiewają — o świecie i o zmierzchu. Trzeciego dnia wyprawia się ucztę, a ofiary z pożywienia zostają złożone przed relikwiami przodków w każdym domu.

(Dokończenie nastąpi)

Ekran i widz

MIŁOSC BLONDYNKI ZE SFER STUDENCKICH

O dziesięć, dwadzieścia lat któryś z reżyserów, z mniejszym lub większym dorobkiem i odpowiednim balastem wiekowym na grzbiecie, odkrywa tak zwane nowe pokolenie młodzieży, które go fascynuje lub szokuje i którego „portret pokoleniowy” postanawia natychmiast uwiecznić w swoim najnowszym filmie. Efekty bywają różne.

Kiedy w 1954 r. André Cayatte nakręcił „Przed potopem” z udziałem młodzieńców

Mariny Vlady, film ów spotkał się z zachwytnymi krytykami i zrobił furorę na światowych ekranach jako socjologiczno-psychologiczne studium młodzieży wyzwolonej, nie tylko francuskiej, z okresu, gdy po powojennym chaosie społeczeństwa zachodnie powróciły, wydawało się, do niczym nie zmąconej równowagi.

Gdy jednak w sześć lat później znakomity twórca „Ceny strachu” i „Widma”, pięćdziesięcioletni Henri Clouzot, wystąpił z premierą „Prawdy”, w której do głównej roli zaangażował Brigitte Bardot, film — mimo obecności ówczesnej francuskiej gwiazdy nr 1 — spotkał się z dużo mniejszymi zachwytnymi niż dzieło Cayatte'a. A nawet w odległej, zawsze spragnionej nowinek Polsce, młody krytyk Krzysztof Teodor Toeplitz napisał złośliwie, choć całkiem słusznie, że „Prawda” Clouzota to

film o tym... Jak sobie starszy pan wyobraża dzisiejszą młodzież.

Ale Clouzota dzielił od jego bohaterów trzydziestoletni dystans wiekowy i dlatego w „Prawdzie” istniały tylko pozory; prawdy — nie było.

O ile więcej autentyzmu czuło się w debiutanckim, nakręconym w 1956 r., filmie niedawnego reportera „Paris Matcha”, Rogera Vadima — „I Bóg stworzył kobietę”, filmie, który od razu dał światową sławę początkującej aktorce, Brigitte Bardot! Bardotka i Vadim mieli w danym wypadku atut nie do przecięcia: oni sami byli przedstawicielami tego środowiska, jakie postanowili ukazać (niezależnie od wszelkich zabiegów „epatacyjnych”, co stało się później, niestety, specjalnością Vadima). Notabene wiele lat później, w Polsce, w latach siedemdziesiątych, tak dobrze były odbierane filmy Kieślowskiego, Zanussiiego, Agnieszki Holland, Piwowskiego, Falka, Kijowskiego i grupy stale z nimi współpracujących młodych aktorów, bo ich twórcy kręcili filmy o ludziach ze swojego pokolenia. (Nie jest w tej chwili istotne, które z owych filmów osiągnę-

ły wyższy, a które — niższy wymiar artystyczny.)

Do tych refleksji skłonił mnie najnowszy film „Alabama” Ryszarda Rydzewskiego, zresztą — rówieśnika Rogera Vadima, a więc dzisiaj pana po pięćdziesiątce. (Starszego natomiast o kilka lat od Henri Clouzota — gdy kręcił on swoją „Prawdę”.)

Rydzewski, od lat bez mała trzydziestu związany z polskim kinem, był asystentem reżysera oraz drugim reżyserem liczących filmów fabularnych o takiej rozpiętości gatunkowej, tematycznej i artystycznej, jak m.in.: „Małe dramaty”, „Szczęściarz Antoni”, „Kryżacy”, „Westerplatte”, „Samotność we dwójce”. Jako samodzielny reżyser koncentrował się zwykle na filmach „dziecięcych” czy „młodzieżowych”, obecnie zaś śledził do tematu nie „młodzieżowego”, lecz mającego ukazać problemy naszej współczesnej młodzieży.

Akcję „Alabama” osadził Rydzewski w środowisku studentów medycyny. Centralną postacią jest tutaj przystojna blondynka z trzeciego roku, Bożena (Maria Proboš), dziewczyna dobra i uczciwa z natury, szczerze kochająca swojego chłopaka z tego samego roku studiów, Piotra (Grzegorz

Van Halen - potęga rocka

CI czterej zadowoleni z siebie dżentelmeni uchodzą dziś za milionerów i supergwiazdorów rocka. Ostatnio miałem okazję oglądać na kasecie video ich koncert. Przyciemnia on rozmachem największą „zadymę” w wydaniu znanych mi dotąd grup spod znaku heavy metal. Wspaniały show, pełen ekscentrycznych popisów wielce seksownego solisty Davida Lee Rotha, zachwyca nie tylko młode panienki. Warto pamiętać, że grupa Van Halen, bo to o niej mowa, gra niezwykle „rajcowną”, kipiącą rytmem i erotyką muzykę na najwyższych obrotach. Wątpiących odsyłam do ostatniego, platynowego albumu „1984”. Zdaniem fachowców, stanowi on najlepszy efekt poszukiwań muzyki rockowej.

Historia podziwianej niemal na całym świecie formacji zaczęła się przed jedenastu laty w Los Angeles. Dwaj Holendrzy — bracia Alex i Eddie Van Halenowie — trafili wówczas do pop-rockowego, wcale nie najciekawszego tria Mammoth. Po licznych przygodach dołączyli do nich Michael Anthony i David Lee Roth. Obaj muzycy mieli większe od braci doświadczenie, a jednak nie potrafili wychylić się poza powielanie rockowych staroci z Wysp Brytyjskich. Nic dziwnego, że nie mogli wyjść z knajp i pubów dających im zatrudnienie.

Van Halenom marzyła się nieco inna kariera. Wiedząc impulsem, zmiany mało popularnego stylu, zdecydowali się na granie agresywnego rocka. Przy okazji zmienili szyld kapeli na Van Halen. Może nie zdobyliby takiego rozgłosu gdyby nie pomoc Gene Simmons'a z heavy rockowej grupy Kiss. To właśnie on ułatwił im kontakt z przedstawicielami firmy płytowej Warner Brothers. Kiedy pierwszy album przyniósł kwartetowi trzy

Platynowe Płyty, jasne było, że wytwórnia zrobiła na tym kontrakcie znakomity interes. Pozostawało utrzymać to zainteresowanie za wszelką cenę.

Sukces komercyjny utwierdził braci w przekonaniu, że wybrali słusznie i muszą dalej uatrakcyjniać swoje propozycje muzyczne. Pomocne miały być w tym fantazyjne stroje i pełne erotycznych podtekstów słowa piosenek. Zamiar muzyków powiódł się wyśmienicie. Następna płyta „Van Halen II” rozeszła się w kilkumilionowym nakładzie. Zespół, pewny swego w studiu, gdzie mógł liczyć na najlepszych fachowców od preparowania dźwięku dopracował się perfekcyjnego show scenicznego, nazywanego emocjonalnym wstrząsem lub, jak kto woli, przeżyciem katastrofy samochodowej, z której wychodzi się bez szwanku.

Pieknie głośnie gitary atakują każdy nerw słuchacza, a efekty wizualne, osiągane dzięki oświetleniu o sile 700 tys. watów, dopełniają reszty. Amerykańskie dzieciaki szaleją za występami Van Halena, a o to właśnie chodzi. Muzycy, kreujący postać idoli, świadomie wykorzystują określone stereotypy. „Zbudowaliśmy naszą karierę na złym zachowaniu — mówi bez żenady solista Lee Roth — bo wiemy, że publiczność tego właśnie od nas oczekuje. Koncert jest dla niej formą absolutnego wyzwolenia z kompleksów. Wściekły rock Van Halena dodaje młodym sily. Czują się wtedy lepsi, pewniejsi siebie, dowartościowani. My śpiewamy dla nich, bawiąc się przy tym niezgorzej. Heavy rock to znaczna doza zwirowania. Bez niego nie byłoby tej ekspresji i upojenia. Kiedy oglądamy rozradowane, podekscytowane twarze dzieciaków, czujemy, że odwalamy kawał dobrej roboty”. Komentarz do wypowiedzi „frontiera” zespołu jest chyba zbyt czyny.



Fot. Archiwum autora

Maskarada, w której cała czwórka bierze udział, przynosi jej niemałe profity. Ostatnia płyta „1984” — z wielkimi hitami na miarę „Jump”, „1984”, „Hot for Teacher” i „House of Pain” — zrobiła oszalamiającą karierę nie tylko w Ameryce. Wezwał się temu nie dziwie, Van Halen, w przeciwieństwie do wielu reprezentantów muzyki HM, potrafi do firmowego jazgotu i huku dodać jeszcze nieprzemijający czar melodyjnych tematów. I właśnie one sprawiają, że krajków szalonej czwórki słucha się z nieudawaną przyjemnością wiele razy. Nie nużą one, jak w przypadku Teda Nugenta, Iron Maiden, Metalica i Judas Priest monotonią, a wręcz przeciwnie — zachęcają do ponownego położenia płyty na talerz gramofonu i upajania się fantastycznymi solówkami gitarzysty Eddie Van Halen, uważany za czołową postać amerykańskiej sceny rockowej, po prostu wie, jak zniewalać tłumy nastolatków i robi to niezwykłą prawdziwą fachurą.

Istvan Grabowski

Z teki Adama Lepsa



Matysik), który jednak jest egoistycznym, mało wartościowym „czarusiem”, wpędzającym prostopadłą i dość bezwolną Bożenę w kolejne życiowe tarapaty. Przez niego to dziewczyna zrywa z rodzicami i wynosi się z domu, a następnie podaje rodziców do sądu (?) w celu wyprośowania od nich alimentów (!!), zawala egzaminy (!!!), wreszcie — usiłuje wziąć na siebie winę, gdy jej ukochany ukradł ze szpitalnego gabinetu drogie zagraniczne lekarstwa (!!!). Poczciwi, prości rodzice, dzielący dzień pomiędzy godziny pracy, kolejkowanie przed sklepami oraz oglądanie programu telewizyjnego, rozpaczają oczywiście, podczas gdy zakochana blondynka brnie coraz głębiej w kolejne dramatyczne sytuacje. Podążając się jedynie wspomnieniami z wakacji (na ekranie: stosowne retrospekcje, pełne nagości, namiętności, „złocistego” plasku plaży oraz „toczących grzebień piany” błękitnych fal morskich). Nie koniec na tym: Bożena, szukając jakiegos oparcia i pomocy, wpada w „złe towarzystwo”. Jej koleżanka Anna (Beata Maj), choć współczująca i wiele na swój sposób okazująca pomocy, jest niezłym szwarc-

charakterem. Ta drobna i szczupła szarytka, o twarzy małej złośliwej żniki, nie tylko pławi się w dobrach materialnych pochodzenia zachodniego (!), które zawdzięcza częściowo pomocy materialnej ojca, który wyjechał na Zachód „wybrawszy wolność”, ale co gorsza — ona, studentka medycyny, handluje narkotykami (!!!), pozostając w spółce z niejakim Joe... To właśnie tacy jak Joe i Anna — wydaje się mówić reżyser — zapewniają młodym ludziom „na głódzie” narkotykowym dostęp do Alabamy, nie istniejącej krajny marzeń i szczęścia, do nałogu, od którego rzadko można się uwolnić... Zalamana i zdradzona przez wszystkich Bożena staje przed dramatycznym dylematem: wkroczyć w krainę Alabamy czy...?

Odpowiedź na to finałowe pytanie pozostawia reżyser widzom. Zaś „Filmowy Serwis Prasowy” opatruje film komentarzem, że:

„W kolejnym utworze zatytułowanym „Alabama” reżyser dalej wyraża swój wrzask na obecny stan ducha młodzieży. Nurtuje go i oburza — nie po raz pierwszy — brak współczesnych wzorców moral-

nych, nieodpowiedzialność, infantylizm i zabobność w postępowaniu współczesnej młodzieży”.

Cóż z tego, że słowa powyższe, i dea filmu, brzmią tak słusznie i tak przekonująco! Skoro przełożone na język ekranu jawią się jako pełna przerysowań i braku psychologicznej prawdy, wielce melodramatyczna opowiadka. O pewnej blondynce, która podczas wakacji nad morzem przeżyła pierwszy romans z kolegą ze studiów i co z tego, jakoby, wynikło.

W konkluzji można by napisać tak: powstał oto kolejny film o tym, jak sobie starszy pan, który miał jak najlepsze chęci, wyobraża „dzisiejszą młodzież” ze sfer studenckich. Można by też przytoczyć słowa Marii Probosz z jednego z jej wywiadów, że: „Každy czeka na swego Polańskiego”. I dodać, że jak dotąd, ta młoda, ładna i chyba dobrze zapowiadająca się aktorka — na swojego Polańskiego jeszcze nie trafiła. Ani — na swojego Milosa Formana.

M. D.

NOWOŚCI WYDAWNICTWA LUBELSKIEGO

- Franciszka Arnsztajnowa: Zaczarowana wioska, II, Danuta Imielska-Geblthner, s. 16, cena 25 zł.
- Anna Achmatowicz-Otok i Stanisław Otok: Polonia australijska, s. 194, cena 200 zł.
- Jadwiga Kozieradzka: Przygody trzeci, urwisów, II, Eryk Liciński, s. 48, cena 85 zł.
- Marek Kuryłowicz: Historia i współczesność prawa rzymskiego, s. 140, cena 50 zł.
- Polskie Towarzystwo Historyczne, Oddział w Lublinie: Rocznik Lubelski, s. 236, cena 150 zł.
- Ewa Szelburg-Zarembina: Srebrne gwiazdki II, Zbigniew Rychlicki, s. 18, cena 40 zł.
- Urszula Wircht: Aglomeracja lubelska i czynnik kształtujący jej rozwój, s. 18, cena 150 zł.



NEON?

— Tak. Nad kinem.
— Po co ja siedzę do tego światła? — szeptał w zamyśleniu Kuba.
— Po pijaku — powiedział Kostek — chodź się w różne strony. Wiem dobrze, co to znaczy, bo sam też lubię dać sobie w gardło. Takie to życie człowieka...
— Dziękuję panu — mruknął Kuba.
— Klops by był z panem — z przechwałką powiedział Kostek. — Jakby pana harcerzyki drapnęli, to klops. Znow dwadzieścia cztery godzin. Zie czasy idą na trunkowych, panie Kubuś...
Zahamował, Kuba wygramolił się z trudem. Zapłacił Kostek powiedział:
— Teraz najlepiej w kinie. A rano coś na gorąco... — Machnął Kubie ręką i odjechał.
W bramie stał dozorca; patrzył przed siebie smętnym, pełnym melancholii spojrzeniem.
— Widzi pan, co za świnią ten Kostek — powiedział zagradzając Kubie drogę. — Pokłóciłem się z nim. Miał postawić flaszkę... — Przerwał nagle i popatrzył na Kubę. W jego aksamiennych oczach pojawiło się pełne zazdrości zainteresowanie. — Gdzie się pan tak doprawił? — zapytał.
Kuba odsunął go i począł iść schodami na górę. Słyszał, jak dozorca mruczy: „Naród — bez wychowania...” Jęczał; każda kość, każdy kawałek ciała napelniony był ciężkim, żelaznym bólem. Przystawał co chwila i dyszał chrapliwie, opierając głowę o poręcz. Na drugim piętrze przysiadł; odпочawszy ruszył dalej. Doszedł wreszcie. Stał na korytarzu

i szukał klucza; przeskakowało mu palto, szalik, ubranie — wszystko znalazłszy klucze, podszedł do zamka. Wtedy dopiero zauważył, że przed drzwiami jego mieszkania, na ziemi, siedzi kobieta.
— To ty, Krystyno? — powiedział i cofnął się o krok. Patrzył w ciemność z czujnością nocnego ptaka.
— Chodź — powiedziała cicho.
Potrzaskał odmownie głową.
— Nie — rzekł.
— Chodź. Kuba — powiedziała łagodnie. — Bardzo długo czekam.
Potrzaskał głową. Zaciśniętą aż do bólu powieką, a kiedy rozwarł je z powrotem, zobaczył ją. Odetchnął z ulgą.
— Wyciągnij rękę, jeśli to naprawdę ty — powiedział.
Wyciągnęła ku niemu obie ręce.
— Tak — szepnął — Do diabła, do diabła...
— Daj klucze — poprosiła.
Wzięła klucze; otworzywszy drzwi, weszła do mieszkania i zapaliła światło. Spojrzała na twarz Kubę i oczy jej zrobiły się ogromne. Nie mówiąc ani słowa, zdjęła z niego palto i obejrzała je, powiesiła na wieszaku.
— Idź do pokoju — rzekła.
Kuba posłusznie wszedł do pokoju i położył się na tapczanie. Krystyna weszła za nim. Zapaliła lampkę na nocnym stoliku.
— Zaraz przyjdę — rzekła.
— Przyjdź — szepnął Kuba.
Patrzył w sufit; z jednego kąta, po niteczce schodził mały pajęczek. „Skąd on tutaj?” — pomyślał Kuba i zamknął oczy. Otworzył je dopiero wtedy, gdy Krystyna poczęła twarz jego ocierać mokrym ręcznikiem.
— Pilem — powiedział słabym głosem.
Milczała. Twarz jej była blisko, ukryta w cieniu lampy; oczy miała zamknięte, usta boleśnie przygryzione.
— Pilem — powtórzył Kuba.
— Obetrę ci ręce — rzekła.
— Pilem — zawył Kuba z całej siły i odrzucił ją. Chciał dźwignąć się, lecz ułożyła go z powrotem; jej ręce okazały się nadspodziewanie silne.
— Poczekaj — rzekła. — Zrobię ci kawę.
Odeszła. „Pilem” — raz jeszcze pomyślał Kuba i roześmiał się wzgardliwie. Pająk był już w połowie drogi do ziemi; unosił się wprost nad jego głową. W pewnej chwili Kuba ujrzał, że pająk ten ma porowatą ludzką twarzyczkę i smutne oczy. Wtedy

przypomniał sobie wszystko — knajpę, Władka, harmonistę tłumaczącego sny, barmankę żonglującą naczyniami z niepojętą zręcznością, plakaty nad bufetem, pochód upiórów na ulicy. „Was nie ma — pomyślał z satysfakcją. — Nigdy was nie było naprawdę...” Zasnął.
Obudziła go Krystyna; stała nad nim ze szklanką kawy.
— Długo spałem?
— Nie, parę minut. Pij, póki gorąca.
Dźwignął się na łóżku; pił gorący płyn, parząc wargi. Krystyna przytrzymała mu szklankę. Kiedy skończył, odstawiała ją na stolik. Kuba zapytał:
— Chcesz wiedzieć, jak to było?
Potrzaskała głową; oczy jej były uważne.
— Nie — rzekła.
— Dzwonili tutaj... od rana. Musiałem wyjść z domu... — Nagle machnął ręką; zrozumiał, że nigdy nie potrafił jej opowiedzieć, jak było naprawdę.
— Pójdę już — powiedziała Krystyna.
— Odchodzisz?
— Idę. Przyjdę jutro rano. Pójdziemy tam rano, z samego rana.
— O której?
— O ósmej.
— I co?
— Będziesz się leczyć.
— Krystyna.
— No?
— Ja tam nie pójdę nigdy.
— Dlaczego?
— To nic nie pomoże.
— Będziemy próbować.
— Dokąd?
— Do końca.
— Do jakiego końca?
— Dopóki nie przestaniesz pić.
— Nic z tego nie będzie. Idź stąd. Wracaj między żywych. Jeszcze czas.
— Żywi są ci, których się kocha.
— I tak kiedyś odejdziesz. Litość to marne uczucie. Będziemy się męczyć i szarpać. Udręka. Niewiele da się zbudować na litości.
— Kuba.
— Tak.
— Słuchaj mnie uważnie! Ja przyjdę jutro rano. Jutro rano o ósmej. Będę dzwonił trzy razy. Wtedy mi otworzysz. Tylko wtedy... Jeśli tu kogoś diabli przynieśli, nie otwieraj nikomu.
(cdn.)

Archiwum mistrzów anegdoty

Pełen młody literat zwrócił się do słynnego już pisarza francuskiego, Eugeniusza Scribego, o ocenę jego sztuki.
Scribe czytał przez kilka minut, potem zwracając rękopis odrzekł:
— Kochany kolego! Radzę panu wystrzegać się pisania głupstwa przynajmniej do czasu, dopóki nie stanie się pan sławnym.

Wiedeński piekarz, bez uzasadnionych powodów, zaczął swego czasu wytykać coraz mniejsze bułeczki. Zareagował na to znany satyryk — Nestroy — zjawiając się na scenie z miniaturową bułeczką w bisonierce fraka. W odpowiedzi na ten żart piekarz wiedeński oskarżył Nestroya i satyryk został skazany na 24 godzinny areszt. Gdy po odsiedzeniu kary znalazł się znowu na scenie, jeden z śledzących na sali piekarzy krzyknął:
— Jak tam było w areszcie? Nie cierpiał pan głodu?
— Nie — odpowiedział Nestroy — zakochała się we mnie córka dozorczy więziennego i podawała mi waże bułeczki przez dziurkę od klucza!

Jeden z wyższych carskich dostojników, nie odznaczający się zbyt dużą inteligencją, w

trakcie rozmowy dotyczącej tematów literackich, w której brał także udział sławny pisarz rosyjski Dostojewski, wyraził się złośliwie:
— Dżisiejszy poeta, a dawniej błazen to właściciel jedno! A może jest jakaś różnica między poetą a błaznem, jak pan uważa, panie Dostojewski?

Na co pisarz:
— Błazen pyta, a poeta odpowiada.

Wyszperał: Ryszard Dunin

Krzyżówka nr 10 - Szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie. Pierwsze litery 17 początkowych wyrazów pomocniczych tworzą imię i nazwisko pisarza, z którego utworu pochodził tekst do odgadnięcia. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami, a podwójne — kropkom.

1. motyw melodramatu — 159, 53, 64, 22, 58, 17.
2. granat na dzinsy — 164, 94, 99, 16, 8, 7.
3. góry na Bałkanach — 160, 102, 138, 144, 119, 158.
4. na głowie Sienkiewiczowskiego Kozaka — 155, 122, 25, 11, 31, 143, 36, 55.
5. cementownia w Sitkowie — 157, 12, 29, 19, 127, 161.
6. kawał drewna opałowego — 148, 129, 108, 45, 107, 90, 14, 49, 72.
7. pomysłowość — 149, 80, 110, 56, 100, 18, 5, 39.
8. krokodyl — 126, 24, 30, 44, 2, 69, 106, 85.
9. bardzo smaczna ryba — 78, 48, 15, 70, 40.
10. zewnętrzna warstwa ziarna — 101, 33, 27, 54, 66, 4.
11. uprząż wierzchowca — 103, 42, 65, 3, 47, 79.
12. syn Piasta i Rzepichy — 87, 134, 67, 163, 104, 37, 60, 74.
13. tragediopisarz grecki, autor „Medei” — 165, 111, 9, 77, 89, 124, 154, 150, 92.
14. ręczny napęd łodzi — 117, 73, 139, 113, 38, 28.
15. dzień tygodnia — 145, 91, 140, 112, 162, 23.
16. zezwolenie na sprzedaż wyrobów monopolowych — 95, 137, 141, 20, 93, 132, 82, 10.
17. wyraził określonej ideologii — 96, 13, 43, 84, 131, 114, 83.
18. kraj związkowy w RFN — 21, 88, 32, 51, 63.
19. uniwersytecki woźny — 152, 147, 109, 125, 35.
20. kompozytor, autor „Wolnego strzelca” — 52, 61, 105, 93, 1.
21. przewód elektryczny — 123, 81, 76, 142, 121.
22. np. Pan Tadeusz — 135, 59, 116, 136, 130, 97, 68.
23. roślina na worki — 6, 153, 41, 75, 26, 146, 118.
24. lewy dopływ Dunaju w Czechosłowacji — 71, 50, 128.
25. symptom — 120, 115, 57, 34, 62.
26. jest w sprzeczności — 156, 151, 86, 46, 133.

	1	2	3	4	5	6	7		8	9	10	11	12		13	14	
15	16	17		18	19	20	21	22		23	24	25		26	27	28	29
30	31		32	33	34	35	36		37	38	39	40	41	42	43		
44	45	46	47	48		49	50	51	52	53	54	55	56	57		58	59
60	61	62	63	64	65		66	67	68	69	70	71	72				73
	74	75		76	77	78	79		80	81	82	83	84	85	86	87	88
		89	90	91	92	93	94	95	96		97	98	99	100	101	102	103
104	105	106	107	108		109	110	111	112	113	114	115	116	117	118		119
120	121	122	123	124	125		126	127	128	129	130	131	132	133	134	135	
136	137	138	139	140	141	142		143	144		145	146	147	148	149	150	
151		152	153	154	155	156	157	158	159		160	161	162	163	164	165	

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 8 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

„Dostojewski nie miał stylu, miał styl wiecześniej narracji. Nie mógł mieć stylu człowieka, który nie ulegał słowom, nie bawił się nimi, którego stylem była sama odkrywczosc, sama funkcja odstaniania człowieka”.

Adolf Rudnicki
Ucieczka z Jasnej Polany

Nagrodę otrzymuje Danuta Cholewińska, ul. Leonarda 14 m. 29, 20-623 Lublin.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Lidia Wójcik, Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamierzonych i zastrzega sobie prawo skrótnów. W sporach literackich przyjmują interesantów kierownik działu w oiałki w kodzie 14-16.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 233-29.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4. Adres redakcji: 20-025 Lublin ul. Skłodowskiej 21.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 253-83 sekretarz redakcji 213-81 dział publicystyki i literacki 213-35.
Korespondencje zwrócić prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.